

**LISA MCMANN**

**SEN**

Przekład Agnieszka Kabala

*To dla ciebie, Toots*

## SZEŚĆ MINUT

9 grudnia 2005, godzina 12.55

Janie Hannagan czuje, jak podręcznik do matematyki wyslizguje się z jej palców. Kurczowo łapie brzeg stołu w szkolnej bibliotece. Wszystko robi się czarne i ciche. Janie opiera głowę na stole. Próbuje się z tego wyrwać, ale nie daje rady. Jest dzisiaj zbyt zmęczona. Zbyt głodna. Naprawdę nie ma na to czasu. I nagle.

Siedzi na trybunach stadionu futbolowego, oślepią światłami, milcząca wśród ryczącego tłumu.

Spogląda na ludzi siedzących wokół niej - kolegów z klasy, rodziców - próbując zidentyfikować śniącego. Czuje, że śniący się boi, ale gdzie on jest? W końcu patrzy na boisko. Odnajduje go. Przewraca oczami.

To Luke Drake. Nie ma co do tego wątpliwości. To jedyny nagi zawodnik na boisku, na którym ma się właśnie zacząć mecz z okazji zjazdu absolwentów.

Wygląda na to, że nikt go nie zauważa, nikt się nim nie przejmuje. Z wyjątkiem jego samego. Piłka zostaje wyrzucona, drużyny biegną w jej stronę, ale Luke zasłania się rękami i przeskakuje z nogi na nogę. Janie czuje, jak narasta w nim panika. Czuje mrowienie w palcach i drętwienie.

Luke spogląda na Janie błagalnym wzrokiem, gdy piłka leci w jego stronę niczym pocisk, w zwolnionym tempie.

- Pomocy - jęczy.

Janie zastanawia się, czy mu pomóc. Zastanawia się, co trzeba zrobić, żeby zmienić bieg snu Luke'a. Bierze nawet pod uwagę to, że gwiazdzie boiska przydałby się taki zastrzyk pewności siebie na dzień przed meczem, który zdecyduje, czy Fieldridge High weźmie udział w Okręgowych Mistrzostwach Klasy A.

Ale Luke jest strasznym palantem. Nie doceni tego. Więc Janie daje sobie spokój i z rezygnacją obserwuje tę porażkę. Zastanawia się, czy Luke wybierze dumę, czy chwałę.

Nie jest tak wielki, jak mu się wydaje.

o pewne.

Piłka prawie go dosięga, ale nagle sen zaczyna się na nowo. Och, weź się w garść, człowieku, myśli Janie. Koncentruje się i powoli wstaje ze swojego miejsca. Idzie na tył trybun, pod ławki, i próbuje zostać tam przez resztę snu, żeby nie musieć na to patrzeć. I o dziwo, tym razem jej się udaje.

Zawsze coś.

Godzina 13.01

Świadomość Janie gwałtownie wraca do ciała, które wciąż siedzi przy stoliku w bibliotece, tym samym co zwykle, oddalonym od innych stolików Janie prostuje obolałe palce, unosi głowę, a kiedy znów widzi wyraźnie, rozgląda się po sali.

Dostrzega winowajcę przy stoliku jakieś pięć metrów od niej. Luke już nie śpi. Przeciera oczy i szczerzy się głupio do dwóch innych piłkarzy, którzy stoją obok niego i się śmieją. Popychają go. Poklepują po głowie.

Janie potrząsa głową, żeby oprzytomnieć, i podnosi książkę do matmy, która otwarta okładką do góry, leży na stoliku, tam gdzie ją upuściła. Pod książką znajduje minisnickersa. Uśmiecha się do siebie i zerka w lewo, między regały z książkami.

Ale nie ma tam nikogo, komu mogłaby podziękować.

## TUTAJ WSZYSTKO SIĘ ZACZYNA

23 grudnia 1996, wieczór

Janie Hannagan ma osiem lat. Jest ubrana w cienką spraną sukienkę w czerwone wzorki, z krótkimi rękawami, brudnobiałe rajstopy z krokiem prawie w kolanach, szare „księżycowe” kozaki i brązowy skórzany płaszcz bez dwóch guzików. Jej długie ciemnoblonde włosy sterczą naelektryzowane. Janie jedzie z mamą pociągiem linii Amtrak z domu w Fieldridge w Michigan do Chicago, w odwiedziny do babci. Mama, siedząca naprzeciwko, czyta „Globe'a”. Na okładce jest zdjęcie ogromnego mężczyzny ubranego w błękitny smoking. Janie opiera głowę o okno i patrzy, jak jej oddech tworzy chmurkę na szybie.

Chmurka zasnuwa jej pole widzenia tak powoli, że Janie nie orientuje się, co się dzieje. Przez chwilę unosi się w tej mgłę i nagle znajduje się w wielkiej sali. Siedzi przy stole konferencyjnym z pięcioma mężczyznami i trzema kobietami. W jednym końcu sali stoi wysoki łysiejący mężczyzna z aktówką. Prowadzi prezentację w samej bieliźnie i jest bardzo zdenerwowany. Próbuje mówić, ale nie może wydusić słowa. Wszyscy pozostali dorośli są w eleganckich garniturach. Śmieją się i pokazują palcami łysiego mężczyznę w majtkach.

Łysy mężczyzna spogląda na Janie.

A potem na ludzi, którzy się z niego śmieją.

Jego twarz marszczy się żałośnie.

Zasłania aktówką przód majtek, jednak tamci tylko rechoczą jeszcze głośnie. Biegnie do drzwi, ale klamka jest śliska - kapią z niej jakieś glutiny. Nie może ich otworzyć - klamka skrzypi i klekocze głośno w jego dłoni, a ludzie przy stole pokładają się ze śmiechu. Majtki mężczyzny są szarobiałe, obwisłe. Znowu zwraca się ku Janie ze spanikowanym, błagalnym spojrzeniem.

Janie nie wie, co robić.

Nieruchomieje.

Zgrzytają hamulce pociągu.

I nagle obraz zasnuwa mgła i wszystko znika.

- Janie! - Mama pochyla się nad nią. Jej oddech pachnie ginem, a potargane włosy opadają na jedno oko. - Janie, mówię, że może babcia zabierze cię do tego wielkiego fajnego sklepu z lalkami. Myślałam, że się ucieszysz, ale widzę, że nie bardzo. - Mama pociąga z piersiówki schowanej w starej, zniszczonej torebce.

Janie skupia się na matce i uśmiecha.

- Fajnie by było - mówi, chociaż wcale nie lubi lalek. Wolałaby nowe rajstopy. Wierci się na siedzeniu, próbując je poprawić. Krok naciąga się w połowie ud. Janie myśli o łysym mężczyźnie i mruży oczy. Dziwne, myśli.

Kiedy pociąg się zatrzymuje, biorą bagaże i wychodzą na korytarz. Przed mamą Janie z przedziału wyłania się rozmamłany łysy biznesmen.

Ociera twarz chusteczką.

Janie gapi się na niego.

Opada jej szczęka.

- Chwila - szepcze.

Mężczyzna spogląda na nią obojętnie i odwraca się, by wysiąść z pociągu.

6 września 1999, godzina 15.05

Janie biegnie na przystanek po pierwszym dniu szkoły w szóstej klasie. Melinda Jeffers, jedna z dziewczyn z Północnej Strony miasta, podstawia jej nogę i Janie rozciąga się jak długa na żwirze. Melinda śmieje się, idąc do błyszczącego jeepa Cherokee swojej matki. Janie otrzepuje się, powstrzymując łzy. Wsiada do autobusu, zajmuje miejsce z przodu i ogląda brud i krew na rękach i rozdarcie na kolanie i tak już mocno znoszonych spodni.

Na samą myśl o szóstej klasie dziewczynie boleśnie ściska się gardło.

Opiera głowę o szybę.

Po powrocie do domu mija mamę, która siedzi na kanapie i ogląda *Modę na sukces*, popijając z przezrzystej szklanej butelki. Janie ostrożnie myje szczypiące dłonie, wyciera je i siada na kanapie, mając nadzieję, że mama zauważy. Ze coś powie.

Ale mama Janie śpi.

Ma otwarte usta.

Cicho chrapie.

Butelka przechyla się w jej dłoni.

Janie wzdycha, odstawia butelkę na zniszczony mały stolik i zabiera się do pracy domowej.

W połowie zadania z matematyki pokój zasnuwa czerń.

Janie wpada w jasny tunel, który wygląda jak wielobarwny kalejdoskop. Nie ma podłogi; Janie unosi się, a ściany wirują wokół niej. Od tego wirowania chce jej się wymiotować.

W tunelu obok Janie jest jej mama oraz mężczyzna, który wygląda jak jasnowłosy Chrystus. On i mama Janie, lecąc tunelem, trzymają się za ręce. Wyglądają na szczęśliwych. Janie wrzeszczy, ale z jej gardła nie wydobywa się żaden dźwięk. Chce, żeby to się skończyło.

Czuje, że ołówek wypada jej z palców.

Czuje, że jej ciało osuwa się bezwładnie na poręcz kanapy.

Próbuje usiąść prosto, ale w tym wirze kolorów nie może się zorientować, gdzie jest góra, a gdzie dół. Przechyliła się za mocno w przeciwną stronę, niż zamierzała, i pada na mamę.

Kolory znikają i wszystko robi się czarne.

Janie słyszy, że mama burczy.

Czuje, jak ją odpycha.

Pokój znów staje się widoczny, a mama klepie ją po twarzy.

- Złaz ze mnie - mówi. - Co z tobą, do diabła?

Janie siada prosto i patrzy na mamę. Żołądek jej się wywraca, a od tych wszystkich kolorów ma zawroty głowy.

- Niedobrze mi - szepcze. Wstaje i, potykając się, pędzi do łazienki, żeby wymiotować.

Kiedy wychodzi, blada i roztrzęsiona, matki nie ma już na kanapie. Poszła do sypialni. Bogu dzięki, myśli Janie. Ochlapuje twarz zimną wodą.

1 stycznia 2001, godzina 7.29

Pod sąsiedni dom podjeżdża meblowóz. Mężczyzna, kobieta i dziewczyna w wieku Janie wyskakują z szoferki i zapadają się w śnieg na podjeździe. Janie obserwuje ich z okna swojego pokoju.

Dziewczyna ma ciemne włosy, jest ładna.

Janie zastanawia się, czy będzie zadzierała nosa, jak inne dziewczyny, które w szkole nazywają ją białym śmieciem. A może, skoro ta nowa mieszka obok Janie po złej stronie miasta, ją też będą nazywać białym śmieciem.

Ale jest naprawdę ładna.

Na tyle ładna, że może ją będą traktowali inaczej.

Janie ubiera się w pośpiechu, wkłada buty i kurtkę i maszeruje do nowych sąsiadów, żeby porozmawiać z dziewczyną, zanim te z Północnej Strony dorwą ją w swoje łapy. Janie rozpaczliwie potrzebuje przyjaciółki.

- Pomóc państwu? - pyta o wiele pewniej, niż się sama czuje.

Dziewczyna się zatrzymuje. Przechyla głowę i uśmiech pogłębia dołeczki na jej policzkach.

- Cześć - mówi. - Jestem Carrie Brandt. Jej oczy błyszczą.

Serce Janie podskakuje radośnie.

2 marca 2001, godzina 19.34

Janie ma trzynaście lat.

Nie ma śpiwora, ale Carrie ma zapasowy, który może Janie pożyczyć. Stawia plastikową reklamówkę obok kanapy w salonie Carrie.

W reklamówce ma:

Własnoręcznie zrobiony urodzinowy prezent dla Carrie.

Pizamę.

I szczoteczkę do zębów.

Jest zdenerwowana, ale Carrie papie za obie, czekając na jeszcze jedną nową koleżankę, Melinę Jeffers.

Tak, tę Melinę Jeffers.

Z Północnej Strony.

Tak się składa, że Melinda Jeffers jest też przewodniczącą klubu Uprzykrzyć Życie Janie Hannagan. Janie wyciera spoczone dłonie o dżinsy.

Kiedy Melinda się zjawia, Carrie nie zaczyna skakać wokół niej. Janie kiwa jej głową na powitanie.

Melinda uśmiecha się szyderczo. Próbuje szepnąć coś Carrie do ucha, ale Carrie ignoruje ją i mówi:

- Hej! Uczeszmy Janie.

Melinda posyła Carrie mordercze spojrzenie.

Carrie uśmiecha się radośnie do Janie, pytając ją wzrokiem, czy się zgadza.

Janie szczerzy się z przymusem, a Melinda wzrusza ramionami i udaje, że w sumie nie ma nic przeciwko temu.

Choć Janie wie, że skręca ją ze złości.

Trzy dziewczyny powoli coraz bardziej się rozluźniają, a może tylko godzą się z własnym towarzystwem. Robią sobie makijaż i oglądają ulubione filmy Carrie ze starymi komikami - o niektórych Janie w życiu nie słyszała. A potem grają w „Prawda czy wyzwanie”.

Carrie wybiera na zmianę: prawda, wyzwanie, prawda, wyzwanie.

Melinda zawsze wybiera prawdę.

I wreszcie Tanie.

Janie nigdy nie wybiera prawdy.

Jest specjalistką od wyzwań.

W ten sposób nikt nie zajrzy do jej wnętrza.

Nie może sobie na to pozwolić.

Bo ktoś mógłby odkryć jej sekret.

Dziewczęta chichoczą histerycznie, kiedy Melinda każe Janie obieć na bosaka ogródek za domem, rozebrać się i na golasa zrobić anioła w śniegu.

Janie nie ma z tym problemu.

Bo w sumie, co ma do stracenia?

Woli podjąć najgorsze wyzwanie, niż zdradzić swoje tajemnice.

Melinda obserwuje Janie, stojąc ze skrzyżowanymi na piersiach rękami w zimnym nocnym powietrzu. Uśmiecha się szyderczo. Carrie chichocze i pomaga Janie włożyć bluzę i dzinsy na mokre ciało. Potem bierze jej stanik, napełnia miseczkę śniegiem i strzela nim jak z procy w Melinę.

- Faj, obrzydlistwo! - prychna Melinda. - Skąd wzięłaś tę szmatę? Z Armii Zbawienia?

Chichot zamiera Janie w gardle. Odbiera stanik Carrie i zawstydzona upycha go do kieszeni dzinsów.



- Nie - mówi ze złością i nagle znów zaczyna chichotać. - Z Czerwonego Krzyża. A co, wygląda znajomo?

Carrie parska śmiechem.

Nawet Melinda się śmieje, choć niechętnie.

Wracają do domu na popcorn.

#### Godzina 23.34

Hałas w salonie Carrie cichnie i światła gasną, kiedy pan Brandt, ojciec Carrie, staje w drzwiach i krzyczy na dziewczyny, żeby się zamknęły i szły spać.

Janie zasuwają stęchły śpiwór i zamyka oczy, ale po radosnym tarzaniu się nago w śniegu jest za bardzo nakręcona, by móc zasnąć. Świetnie się bawiła mimo obecności Melindy. Dowiedziała się, jak to jest być bogatą laską (może i fajnie przez jeden dzień, ale za dużo jakichś durnych dodatkowych zajęć), że Luke Drake jest rzekomo największym ciachem w klasie (w przekonaniu Carrie) i co ludzie tacy jak Melinda robią cztery razy do roku (jeżdżą na wycieczki w egzotyczne miejsca). Kto by pomyślał?

Teraz przytłumione chichoty obok niej powoli cichną. Janie otwiera oczy i gapi się w ciemny sufit. Cieszy się, że tu jest, nawet mimo docinków Melindy na temat jej ciuchów. Melinda miała nawet czelność, żeby zapytać, dlaczego Janie nigdy nie nosi niczego nowego. Ale Carrie zamknęła jej buzię, wykrzykując: „Janie, wyglądasz ekstra z włosami zaczesanymi do tyłu. Prawda, Melindo?”

Po raz pierwszy w życiu Janie ma francuskie warkocze i teraz, leżąc na cienkiej poduszce, czuje, jak splecione włosy gniotą ją w głowę. Może Carrie kiedyś nauczy ją, jak to się robi.

Chce jej się siku, ale boi się wstać, w obawie, że ojciec Carrie usłyszy i znowu zacznie krzyczeć. Leży cicho, tak jak jej koleżanki, słuchając ich oddechów, gdy zasypiają. Melinda leży w środku, zwinięta na boku, twarzą do Carrie, a plecami do Janie.

#### Godzina 0.14

Sufit zasnuwa się mgłą i znika. Janie mruga i nagle jest w szkole, na lekcji wychowania obywatelskiego. Rozgląda się i stwierdza, że to nie zwykła lekcja na czwartej godzinie, ale kolejna, zaraz po jej lekcji. Stoi z tyłu klasy. Nie ma wolnych miejsc. Pani Parchelli, nauczycielka, gładzi o władzy sądowniczej i o tym, co sędziowie Sądu Najwyższego noszą pod togami. Jakoś nikt nie jest zdziwiony, że

pani Parchelli mówi o takich rzeczach. Niektórzy robią notatki.

Janie patrzy na twarze uczniów. Przy trzecim stoliku w środkowym rzędzie siedzi Melinda z rozmarzonym wyrazem twarzy. Gapi się na kogoś, kto siedzi jeden stolik przed nią. Choć pani Parchelli nie przestaje mówić, Melinda wstaje i podchodzi do osoby, w którą się wpatrywała. Z końca klasy Janie nie widzi, kto to jest.

Nauczycielka niczego nie zauważa. Melinda klęka obok stolika i dotyka dłoni tego kogoś. W zwolnionym tempie ta osoba odwraca się do Melindy, dotyka jej policzka i pochyla się do niej. Całują się. Po chwili wstają, nie przerywając pocałunku. Kiedy wreszcie odsuwają się od siebie, Janie widzi twarz tej drugiej osoby. Biorą się za ręce, idą na przód klasy i otwierają drzwi do schowka na pomoce szkolne. Rozlega się dzwonek i uczniowie jak mrówki tłoczą się przy drzwiach, by wyjść.

Przed oczami Janie znów pojawia się sufit salonu Carrie Brandt. Melinda wzdycha i przekręca się na brzuch w śpiworze obok niej. O fuj! - myśli Janie. Spogląda na zegarek. Jest 1.23.

#### Godzina 1.24

Janie przekręca się na bok i nagle idzie przez las. Las jest ciemny, ale to nie noc. Przez korony drzew przebija się kilka słabych promieni słońca. Przodem idzie Carrie. Wędrują tak z półtora kilometra, albo i więcej, i nagle kilka kroków przed nimi pojawia się rwąca rzeka. Carrie zatrzymuje się i przykłada rękę do ucha. Nasłuchuje. Woła rozpaczliwie:

- Carson! - Wykrzykuje to imię raz po raz, aż jej głos rozlega się w całym lesie. Idzie brzegiem rzeki i w pewnej chwili potyka się o korzeń. Janie wpada na nią, przewraca się i Carrie pomaga jej wstać. Patrzy na nią zdumiona i stwierdza:

- Nigdy cię tu nie było. - Odwraca się i znów zaczyna szukać Carsona, wołając coraz głośniej.

Słychać plusk i na powierzchni wody ukazuje się mały chłopiec. Unosi się na wodzie i szybko płynie z prądem. Carrie biegnie brzegiem i krzyczy:

- Carson! Wyłaż stamtąd! Carson!

Chłopiec uśmiecha się szeroko i się dławi. Znika pod powierzchnią i znów się pojawia. Carrie miota się gorączkowo. Wyciąga rękę do chłopca, ale to na nic - brzeg jest za wysoki, a rzeka za szeroka, by Carrie mogła go dosięgnąć. Po jej twarzy

płyną łązy.

Janie patrzy, serce jej wali. Chłopiec wciąż śmieje się i krztusi, zanurza pod wodę. Tonie.

- Pomóż mu! - krzyczy Carrie. - Ratuj go!

Janie skacze do wody, w stronę chłopca, ale ląduje na brzegu, w tym samym miejscu, w którym była. Próbuje jeszcze raz, ponaglana krzykami Carrie, ale efekt jest ten sam.

Oczy chłopca są teraz zamknięte. Jego uśmiech zrobił się dziwny. Z wody za nim wyskakuje ogromny rekin z otwartą paszczą, setki ostrych zębów błyszczą w słońcu. Rekin chwyta chłopca w paszczę i znika.

Carrie siada w śpiworze i krzyczy.

Janie też krzyczy, ale krzyk więźnie jej w gardle.

Głos ma ochrypły.

Palce zdrętwiały.

Trzęsie się na wspomnienie koszmaru.

Dziewczęta spoglądają na siebie w ciemności. Melinda wierci się, jęczy, ale się nie budzi.

- Dobrze się czujesz? - szepcze Janie, siadając.

Carrie kiwa głową. Oddycha ciężko. Po chwili śmieje się cicho, zażenowana. Głos jej drży.

- Przepraszam, że cię obudziłam. Zły sen.

Janie waha się przez moment.

- Chcesz o tym pogadać? - Jej myśli pędzą jak szalone.

- Nie. Śpij. - Carrie przekręca się na bok. Melinda porusza się, przysuwa kilka centymetrów bliżej Carrie i znów śpi spokojnie.

Janie spogląda na zegarek - 3.32. Jest wykończona. W końcu zasypia...

## Godzina 3.51

...i budzi się nagle w wielkiej pięknej sypialni. Na ścianach wiszą oprawione w ramki plakaty 'NSYNC i Sheryl Crow. Przy biurku siedzi Melinda i bazgrze coś na marginesie zeszytu. Janie mruga, próbując wydostać się z tego pokoju. Siada w śpiworze i czuje to, ale jej

ruchy nie mają wpływu na to, co widzi. Kładzie się, zrezygnowana, i patrzy.

Melinda rysuje serduszka. Janie podchodzi do niej i mówi:

- Melindo. - Ale nie słyhać jej głosu. Ktoś puka w okno sypialni, Melinda podnosi wzrok i się uśmiecha.

- Pomożesz mi otworzyć to okno?

Janie gapi się na Melindę. Melinda patrzy na nią i ruchem głowy wskazuje okno. Janie posłusznie wlecze się w tamtą stronę, staje obok Melindy i razem je otwierają. Do pokoju wspina się Carrie.

Jest naga od pasa w górę.

I ma piersi wielkości arbuzów.

Kołyszą się z boku na bok, gdy Carrie przełazi przez parapet.

Przechodzi na wylot przez Janie i zawstydzona staje przed Melindą.

Janie próbuje się odwrócić, ale nie może. Macha ręką przed twarzą Carrie, jednak Carrie nie reaguje. Melinda puszcza oko do Janie i bierze Carrie w ramiona. Obejmują się i całują. Janie przewraca oczami i nagle znów jest na lekcji, w klasie pani Parchelli. I znów Melinda obejmuje kogoś w przejściu między stolikami. To Carrie. Melinda prowadzi ją na przód klasy. Janie widzi, że nikt inny w klasie nie zwraca najmniejszej uwagi na gołą Carrie i jej megapiersi.

Janie znów siada w śpiworze i energicznie kręci głową. Czuje na policzkach pacnięcia warkoczy, ale nie jest w stanie wydostać się z tej klasy. Nie dość, że musi tam być, to jeszcze nie może nie patrzeć.

Melinda tanecznym krokiem idzie do schowka i prowadzi Carrie ze sobą. Janie, choć wcale nie chce, idzie tam z nimi. Kiedy już wszystkie trzy są w środku, Melinda zamyka drzwi i znów zaczyna całować się z Carrie.

Janie rzuca się na oślep w śpiworze.

Kopie Melindę. Mocno.

I znów jest w salonie Carrie.

Melinda siada, potargana, i odwraca się półprzytomnie, by spojrzeć na Janie.

- Kurde, dlaczego to zrobiłaś? - pyta wściekła.

Udając zasną, Janie otwiera jedno oko.

- Sorki - mamrocze. - Po twoim śpiworze łąził pajak. Uratowałam ci życie.

- Co?!

- Nieważne, już go nie ma.

- Cudownie. Teraz to już na pewno nie zasnę.

Janie uśmiecha się radośnie w śpiworze. Jest za dziewięć szósta rano.

## Godzina 7.45

Janie czuje, że coś trąca ją w nogi. Otwiera oczy, zastanawiając się, gdzie jest. Nic nie widzi w zupełnej ciemności. Carrie odstawia jej głowę nakrytą klapą śpiwora.

- Pobudka, śpiochu. - Światło jest oślepiające.

- Uch - stęka Janie. Siada powoli.

Carrie kuca obok, przyglądając jej się z uniesioną brwią.

Janie pamięta. Ciekawe, czy Carrie też?

- Dobrze ci się spało? - pyta Carrie.

Janie czuje ucisk w żołądku.

- Hm... tak. - Przygląda się reakcji Carrie. - A tobie?

Carrie się uśmiecha.

- Spałam jak dziecko. Nawet na tej twardej podłodze.

- Hm. No, to świetnie. - Janie wstaje i wyplątuje się ze skróconej nocnej koszuli. - A gdzie Melinda?

- Wyszła z dziesięć minut temu. Zachowywała się jakoś dziwnie. Twierdziła, że zapomniała o lekcji fortepianu o ósmej. - Carrie prychnęła. - Jasne.

Janie śmieje się cicho. Jest głodna jak wilk. Robią sobie śniadanie. Wygląda na to, że Carrie nie pamięta swojego koszmarne snu.

Janie nie może o nim zapomnieć.

Gdy jedzą tosty, Janie zerka ukradkiem na biust Carrie. Jej piersi są wielkości połówek jabłka.

Janie wraca do domu i pada na łóżko, rozmyślając o tej dziwnej nocy. Zastanawia się, czy coś takiego przydarza się innym. Ale wie w głębi duszy, że raczej nie.

Zasypia jak kamień i śpi do późnego popołudnia. I uznaje, że nocowanie u koleżanek

nie jest dla niej.

I nigdy nie będzie.

7 czerwca 2004

Janie ma szesnaście lat. Sama kupuje sobie ciuchy. Często kupuje też jedzenie. Zasiłek z opieki społecznej wystarcza mamie na czynsz i alkohol, i na niewiele więcej.

Dwa lata temu Janie zaczęła pracować w Domu Opieki „Wrzos” przez kilka godzin po lekcjach i w weekendy. Teraz, kiedy ma szesnaście lat, pracuje też na pełny etat przez całe lato.

Personel administracyjny i współpracownicy lubią ją, szczególnie kiedy ma wolne w szkole, bo wtedy bierze za kogoś dyżury w dzień lub w nocy, więc każdy może iść na urlop czy zwolnienie w ostatniej chwili. Janie potrzebuje pieniędzy i wszyscy o tym wiedzą.

Postanowiła, że pójdzie do college'u.

Więc przez pięć dni w tygodniu, albo i więcej, wkłada szpitalny fartuch i jedzie autobusem do domu opieki. Lubi starych ludzi. Nie sypiają zbyt mocno.

Janie i Carrie wciąż są przyjaciółkami i sąsiadkami. Spędzają mnóstwo czasu w domu Janie - czekają, aż mama Janie zaśnie w swoim pokoju, a potem oglądają filmy i gadają o chłopkach. Rozmawiają też o innych rzeczach, na przykład o tym, dlaczego ojciec Carrie przez cały czas jest taki wściekły i dlaczego mama Carrie nie lubi towarzystwa. Zdaniem Janie zasadniczo dlatego, że są po prostu zrzędami. Najzwyczajniej w świecie. Ilekroć Carrie pyta, czy Janie może u niej zanoć, jej mama mówi: „Przecież koleżanki dopiero co spały u ciebie, w twoje urodziny”. Carrie nawet nie chce się jej przypominać, że to było cztery lata temu.

Janie myśli o Carsonie i jest ciekawa, czy Carrie naprawdę jest jedynaczką. Ale Carrie nigdy nie mówi o niczym, co ma kanty, kolce i ostre krawędzie. Jakby się bała, że się zrani. Ze pęknie jak balon.

Carrie i Melinda też nadal są przyjaciółkami. Rodzice Melindy wciąż są bogaci. Melinda gra w tenisa. Jest cheerleaderką. Jej rodzice mają mieszkania w Vegas, na wyspie Marco, w Vail i gdzieś w Grecji. Melinda buja się głównie z innymi bogatymi dziećmi. No i z Carrie.

Janie nie ma nic przeciwko towarzystwu Melindy. Melinda wciąż nie znosi Janie. Janie wydaje się, że zna prawdziwy powód i że to nie ma nic wspólnego z tym, że nie jest

bogata.

25 czerwca 2004, godzina 23.15

Po przepracowaniu rekordowych jedenastu wieczorów z rzędu i po siedmiokrotnym zaliczeniu nawracającego koszmaru z II wojny światowej, śnionego przez starego pana Reeda, Janie pada na kanapę i zrzuca buty. Po liczbie pustych butelek na upakowanym stoliku ocenia, że mama jest u siebie, skutecznie znieczulona.

Do domu wchodzi Carrie.

- Mogę u ciebie przekimać? - Ma zaczerwienione oczy.

Janie wzdycha w duchu. Chce się wyspać.

- Jasne. Może być kanapa?

- Pewnie. Dzięki.

Janie się uspokaja. Z Carrie na kanapie nie powinno być problemu.

Carrie głośno pociąga nosem.

- Więc co się stało? - pyta Janie, próbując wykrzesać z siebie tyle współczucia, na ile ją stać. Wystarczająco.

- Tata znowu wrzeszczy. Ktoś mnie zaprosił na randkę. Tata się nie zgadza.

Janie się ożywia.

- Kto cię zaprosił?

- Stu. Ten z warsztatu blacharskiego.

- Mówisz o tym starym gościu?

Carrie się najeża.

- Ma dwadzieścia dwa lata.

- A ty szesnaście! Poza tym on wygląda na więcej.

- Z bliska wcale nie. Jest przystojny. I ma ładny tyłeczek.

- Może grywa w Dance Dance Revolution.

Carrie chichocze. Janie się uśmiecha.

- No dobra. A czy masz tu jakiś alkohol? - pyta niewinne Carrie.

Janie śmieje się głośno.

- Łagodnie mówiąc. Co chcesz, piwo? - Przygląda się butelkom na stole. - Sznapsa? Whiskey? Wódkę?

- A masz to tanie wino, które piją żule w parku Selby?

- Wedle życzenia. - Janie zwleka się z kanapy i szuka czystych szklanek. W kuchni

jest istny Sajgon. Przez ostatnie dwa tygodnie Janie prawie nie bywała w domu. Znajduje w zlewie dwie lepkie szklanki i myje je, po czym przegląda matczyiny zapasik tanich win. - O jest. Przysmak Boona, zgadza się? - Odkręca butelkę i napełnia dwie szklanki po brzegi, nie czekając na odpowiedź Carrie. Odstawia butelkę do lodówki.

Carrie włącza telewizor. Bierze szklankę od Janie.

- Dzięki.

Janie upija łyk słodkiego wina i się krzywi.

- Więc powiedz mi, mała, co zrobisz ze Stu? - To zdanie brzmi jak z piosenki country, ale co tam.

- Spotkam się z nim.

- Tata cię zabije, gdy się dowie.

- Pewnie tak. Nic nowego. - Sadowią się na skrzypiącej kanapie i kładą nogi na stoliku, zręcznie przesuwając butelki na środek, żeby móc się wyciągnąć.

Telewizor brzęczy cicho. Dziewczyny popijają wino i dostają głupawki. Janie wstaje, robi rewizję w swojej sypialni i wraca z przekąskami.

- Fuj, trzymasz nachos w pokoju?

- Żelazne racje. Na takie wieczory jak dzisiaj. - Ponieważ mama nie zawraca sobie głowy kupowaniem prawdziwego jedzenia w spożywczym, kiedy idzie po wodę, myśli Janie.

- Aha. - Carrie kiwa głową.

## Godzina 0.30

Janie śpi na kanapie. Nic jej się nie śni. Nigdy nie miewa snów.

## Godzina 5.02

Janie, zbudzona brutalnie, wpada w sen Carrie. To ten o rzece. Znowu. Janie była w nim już dwa razy od tamtej pierwszej nocy, kiedy miały trzynaście lat.

Nie widząc pokoju, w którym fizycznie znajduje się jej ciało, Janie próbuje wstać. Jeśli uda jej się dotrzeć po omacku do sypialni i zamknąć drzwi, zanim zaczną drętwieć, być może oddali się na tyle, by przerwać łączność. Na oślep, palcami stóp wyczuwa butelki na podłodze i je omija. Sięga do ściany i odnajduje drogę do korytarza, jednocześnie we śnie Carrie, idąc z nią przez las. Wymacuje futryny drzwi - najpierw sypialnia mamy (cicho, nie walnąć w drzwi), dalej łazienka i w końcu jej pokój. Wchodzi do środka, odwraca się i zamyka drzwi w chwili, gdy we śnie dociera z Carrie nad brzeg rzeki.



Łączność zostaje przerwana.

Janie oddycha z ulgą. Rozgląda się, mruga w ciemnościach, a gdy wraca jej wzrok, wpełza do łóżka i zasypia.

Godzina 9.06

Kiedy się budzi, mama i Carrie urzędują w kuchni. W salonie nie ma już butelek. Carrie wyciera pozmywane naczynia, a mama Janie przygotowuje sobie porannego drinka - wódkę z sokiem pomarańczowym i lodem. Na kuchence stoi patelnia przykryta papierowym talerzem. Na drugim talerzu, obok patelni, leżą dwa tosty z masłem, dwa jajka i spora kupka chrupiącego bekonu. Mama Janie bierze sobie kawałek bekonu, drinka i bez słowa znika w sypialni.

- Dzięki, Carrie, nie musiałaś tego robić. Zamierzałam dzisiaj posprzątać.

Carrie jest w doskonałym humorze.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić. Dobrze spałaś? Kiedy się położyłaś?

Zamyślona Janie zagląda pod przykrycie patelni i znajduje placki ziemniaczane.

- Super! Hm... całkiem niedawno. Już prawie świtało. Ale byłam strasznie zmęczona.

- Harowałaś jak nienormalna.

- No tak - mówi Janie. - College. Kiedyś. A ty jak spałaś?

- Całkiem nieźle... - Carrie waha się, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nie mówi.

Janie odgryza kawałek placka. Umiera z głodu.

- Śniło ci się coś miłego?

Carrie zerka na Janie. Podnosi kolejny talerz i wyciera go ściereczką.

- Nie bardzo.

Janie skupia się na jedzeniu, ale czuje ściskanie w żołądku. Czeką, aż milczenie staje się niezręczne.

- Chcesz o tym pogadać?

Carrie milczy długą chwilę.

- Nie bardzo. Nie - mówi w końcu.

## I NABIERA ROZPĘDU...

30 sierpnia 2004

Pierwszy dzień szkoły. Janie i Carrie są w drugiej klasie liceum. Czekają na rogu ulicy na szkolny autobus. Garstka innych licealistów czeka z nimi. Niektórzy są zdenerwowani. Niektórzy bardzo niscy. Janie i Carrie nie zwracają uwagi na pierwszoklasistów.

Autobus się spóźnia. Na szczęście dla Cabela Strumhellera. Janie i Carrie znają Cabela - są z nim kłopoty już od gimnazjum. Janie nie pamięta go sprzed tego okresu, ale krążą plotki, że cofnęli go do ich klasy. Często się spóźniał i zawsze wyglądał na nawalonego. Od ostatniej wiosny urósł na oko chyba ze dwadzieścia centymetrów. Kruczoczarne włosy wiszą w strąkach, zasłaniając mu oczy, chodzi zgarbiony, jakby wolał być niższy. Stoi daleko od wszystkich, paląc papierosa.

Janie przypadkowo podchwytuje jego spojrzenie, więc kiwa mu głową na powitanie. On szybko spuszcza wzrok. Wydmuchuje dym, wyrzuca niedopałek i wgniata go w ziemię.

Carrie szturcha Janie.

- No proszę, twój chłopak!

Janie przewraca oczami.

- Bądź grzeczna.

Gdy Cabel nie patrzy, Carrie uważnie go obserwuje.

- Hm. Jego trądzik zniknął przez lato. Chyba że to ta nowa bajerancka fryzura go przykrywa.

- Przestań - syczy Janie. Chichocze i źle się z tym czuje. Ale patrzy na niego. Sądząc po jego ubraniach, jest tak samo biedny jak ona. - To po prostu samotnik. I małomówny gość.

- Może i małomówny, ale mu staje na twój widok.

Janie mruży oczy i poważnieje.

- Przestań, Carrie. Ja nie żartuję. Robisz się wredna jak Melinda. - Patrzy ukradkiem na Cabela. Jego dzinsy są za krótkie. Doskonale wie, jak to jest być wyśmiewanym za to, że nie ma się odjazdowych ciuchów i gadżetów. Czuje potrzebę, by go bronić. - Pewnie ma takich samych zafajdanych rodziców na zasiłku, jak ja.

Carrie przez chwilę nic nie mówi.

- Nie jestem taka jak Melinda.

- To czemu się z nią bujasz?

Carrie wzrusza ramionami i zastanawia się nad tym przez jakąś minutę.

- Nie mam pojęcia. Dlatego że jest bogata.

Autobus w końcu przyjeżdża. Choć do szkoły jest niecałe osiem kilometrów, jazda, z powodu przystanków, trwa około czterdziestu pięciu minut. Ludzie z drugich klas, jak Janie i Carrie, niepisany prawem szkolnych autobusów postrzegani są jako wyższe sfery, więc siedzą z tyłu. Cabel mijają dziewczyny i zwała się na siedzenie za nimi. Janie czuje na plecach jego kolana. Zerka przez szparę między oparciem a szybą. Cabel podpira ręką podbródek. Oczy ma zamknięte, ledwo je widać spomiędzy tłustych strąków.

- Cholera - mamrocze Janie.

Na szczęście Cabel Strumheller nie śni.

W każdym razie nie w autobusie.

I nie na chemii.

Na angielskim też nie.

Ani on, ani nikt inny. Po pierwszym dniu w szkole Janie wraca z ulgą do domu.

16 października 2004, godzina 19.42

W sypialni Janie pukają Carrie i Stu. Janie uchyla okno. Stu jest odstawiony, na szyi ma cienki, czarny, skórzany krawat, a Carrie jest wystrojona w seksowną czarną sukienkę i szal z przypiętą obrzydliwie wielką orchideą.

- Zobaczyłam, że pali się u ciebie światło - mówi Carrie, tłumacząc tę niezwykłą wizytę. - Janers, chodź z nami na zjazd absolwentów. Jest impreza. Nie będziemy tam długo. Proszę...

Janie wzdycha.

- Przecież wiesz, że nie mam się w co ubrać.

Carrie pokazuje Janie srebrną sukienkę na ramiączkach.

- Masz, mogę się założyć, że będzie na ciebie pasowała. Dostałam ją od Melindy. Wpadnie w szal, gdy zobaczy ciebie w tej kiecce. Mam nawet odpowiednie buty. - Carrie uśmiecha się złośliwie.

- Nie umyłam włosów i w ogóle jestem w proszku.

- Janie, wyglądasz świetnie - mówi Stu. - No, chodź. Nie zmuszaj mnie, żebym siedział cały wieczór z bandą nastoletnich ptasich mózdzków: Zlituj się nad starym człowiekiem.

Janie uśmiecha się pod nosem. Carrie daje Stu klapsa w ramię.

Janie wychodzi przed dom, bierze sukienkę i dziesięć minut później idzie do Carrie.

#### Godzina 21.12

Janie pije trzecią filiżankę ponczu, a Carrie i Stu tańczą po raz milionowy. Siedzi przy stole. Sama.

#### Godzina 21.18

Chłopak z drugiej klasy, znany Janie jako Mózgowiec, prosi ją do tańca.

Janie przygląda mu się przez chwilę.

- A, co mi tam - mówi. Jest o głowę wyższa od niego.

Chłopak opiera głowę na piersi Janie i łapie ją za tyłek.

Janie odpycha go, mrużąc coś pod nosem. Odnajduje Carrie, mówi, że ma podwózkę do domu i właśnie wychodzi.

Carrie, błogo wtulona w ramiona Stu, macha jej na pożegnanie.

Janie atakuje z furią tylne drzwi sali gimnastycznej i nagle znajduje się w gęstej chmurze dymu. Stwierdza, że trafiła na miejsce spotkań gotyków. Skąd mogła wiedzieć?

- Uch - stęka ktoś. Janie idzie dalej, mamrocząc pod nosem „przepraszam” do tego kogoś, kogo walnęła drzwiami.

Po przejściu kilometra w szpilekach Janie czuje, że zaraz odpadną jej nogi. Zdejmuje buty i idąc boso przez trawniki, przygląda się mijanym domom, które w miarę jak posuwa się naprzód, zmieniają się z całkiem ładnych w coraz paskudniejsze. Trawa jest mokra od rosy, a trawniki stają się coraz bardziej zaniedbane. Stopy ma przemarznięte.

Ktoś ją dogania. Idzie tak cicho, że Janie zauważa go dopiero, gdy jest już przy niej. Gość niesie deskorolkę. Drugi i trzeci chłopak dołączają do nich. Po chwili kładą deskorolki na ziemię i jadą wolno przed Janie.

- Jezu! - mówi otoczona Janie. - Jasne, wystraszcicie dziewczynę na śmierć, czemu nie.

Cabel Strumheller wzrusza ramionami. Pozostała dwójka jedzie do przodu.

- Długi spacer? - zagaduje Cabel. - Wszystko u ciebie... hm... w porządku?

- Tak - odpowiada Janie. - A u ciebie? - Nie pamięta, żeby kiedykolwiek słyszała, jak Cabel coś mówi.

- Wskakuj. - Cabel ustawia deskorolkę przed Janie i bierze od niej buty. - Zedrzesz sobie nogi. Tu jest pełno szkła i innego gówna.

Janie patrzy na deskę, a potem na Cabela, który ma na głowie dziurawą wełnianą czapkę.

- Ale ja nie umiem na tym jeździć.

Cabel uśmiecha się półgębkiem. Wpycha pod czapkę długi czarny lok.

- Po prostu stój. Pochyl się. Utrzymuj równowagę. Ja cię popchnę.

Janie mruga. Staje na desce.

Dziwne.

To się nie dzieje naprawdę.

Nie rozmawiają.

Chłopaki przez całą drogę jeżdżą tam i z powrotem, znikają dopiero za rogiem przy domu Janie. Cabel popycha ją pod sam ganek, żeby mogła zeskoczyć. Stawia jej buty na schodku, podnosi deskę, kłania się i odjeżdża za kumplami.

- Dzięki, Cabelu - mówi Janie, ale on już zniknął w ciemnościach. - To było miłe z twojej strony - dodaje do nikogo.

Potem jeszcze długo udają, że się nie znają i że to się wcale nie wydarzyło.

## NA SERIO

1 stycznia 2005

Janie ma siedemnaście lat.

Jeden z chłopaków, Jack Tomlinson, zasypia na angielskim. Janie obserwuje z drugiego końca sali, jak kiwa mu się głowa. Zaczyna się pocić, chociaż w klasie jest chłodno. Jest 11.41. Siedem minut do dzwonka na lunch. Stanowczo za długo.

Janie wstaje, zbiera książki i rusza pędem w stronę drzwi.

- Niedobrze mi - mówi nauczycielowi. Nauczyciel kiwa ze zrozumieniem głową. Melinda Jeffers rzy z ostatniego rzędu. Janie wychodzi z klasy i zamyka za sobą drzwi. Opiera się o chłodną, wyłożoną kafelkami ścianę. Oddycha głęboko, idzie do damskiej łazienki i chowa się w kabinie.

W łazience nikt nigdy nie śpi.

Kiedyś - 9 stycznia 1998

Są dziesiąte urodziny Janie. Tanya Weersma zasypia w szkole, z głową na piórniku. Unosi się, płynie w powietrzu. A potem spada. Spada w przepaść. Skalna ściana przelatuje obok z zawrotną szybkością. Tanya patrzy na Janie i wrzeszczy. Janie zamyka oczy i czuje, że jest jej niedobrze. Obie jednocześnie podrywają głowy, przytomniejąc. Czwartoklasiści wybuchają chóralnym śmiechem.

Janie postanawia, że jednak nie rozda klasie cennych cukierków, które kupiła na urodzinowy poczęstunek.

To się wydarzyło po jeździe pociągiem i facecie w bieliźnie.

Przed pójściem do szkoły średniej Janie miała w szkole tylko kilka widzeń. Ale im jest starsza, tym częściej koledzy z klasy zasypiają na lekcjach. A im więcej dzieciaków zasypia, tym więcej kłopotów ma Janie. Musi wychodzić z klasy, budzić ich albo liczyć się z konsekwencjami.

Jeszcze tylko półtora roku.

A potem.

College. Współlokatorka.

Janie opiera głowę na rękach.

Po lunchu wychodzi z łazienki i idzie na następną lekcję. Po drodze zjada snickersa.

Jeszcze przez dwa tygodnie Melinda Jeffers i jej bogate koleżanki, mijając Janie na korytarzu, wydają odgłosy, jakby wymiotowały.

15 czerwca 2005

Janie ma siedemnaście lat. Urabia sobie ręce po łokcie, biorąc tyle dyżurów, ile się da.

Stary pan Reed z domu opieki jest umierający.

Jego sny są coraz częstsze i coraz straszniejsze.

I nie budzi się łatwo.

Gdy jego ciało słabnie, siła jego snów wzrasta. Przyciągają coraz mocniej. Teraz, gdy drzwi jego pokoju są otwarte, Janie nie może wejść do tego skrzydła budynku.

Nie przewidziała tego.

Na każdym dyżurze ma dziwną prośbę do koleżanek:

- Jeśli zajmiecie się wschodnim skrzydłem, ja biorę resztę.

Inne salowe myślą, że boi się patrzeć, jak pan Reed umiera.

Akurat z tym Janie nie ma problemu.

21 czerwca 2005, godzina 21.39

W Domu Opieki „Wrzos” brakuje personelu. Jest lato. Troje pacjentów jest jedną nogą w grobie. Dwójka ma alzheimera. Jeden śni, krzyczy i płacze.

Ktoś musi opróżniać baseny. Podawać wieczorem leki. Porządkować pokoje na rano.

Janie zbliża się ostrożnie.

Przystaje w zachodnim skrzydle, zagląda do wschodniego i zapamiętuje, co widzi. Na ścianie po prawej jest pięcioro drzwi i sześć odcinków poręczy. Ostatnie drzwi po prawej to drzwi pana Reeda. Dziesięć kroków dalej jest ściana i wyjście ewakuacyjne.

W niektóre dni między drzwiami numer trzy i cztery stoi wózek na naczynia. Kiedy indziej między drzwiami numer jeden i dwa gromadzą się, nie wiadomo skąd, wózki inwalidzkie. We wschodnim skrzydle jest też leżanka na kółkach, ale zwykle stoi pod lewą ścianą. Za każdym razem Janie musi zerknąć w korytarz, nim do niego wejdzie. Bo w niektóre dni - a właściwie w większość dni - ludzie łażą po korytarzu bez żadnego schematu. A Janie nie chce wpaść na nikogo, gdyby oślepla.

Dziś korytarz jest pusty. Janie zauważyła już wcześniej, że rodzina Silva przyszła w

odwiedziny do czwartego pokoju. Sprawdza książkę gości i widzi, że już wyszli. Nie wpisali się żadni inni odwiedzający. Robi się późno. A Janie wie, że musi wykonać swoją robotę, albo zostanie zwolniona.

Wchodzi do wschodniego skrzydła, chwytając poręcz i niemal zgina się w pół.

Godzina 21.41

Hałas bitwy jest ogłuszający. Janie chowa się ze starym panem Reedem w okopie na plaży zasłanej ciałami i spływającej krwią. Sceneria jest tak znajoma, że Janie może powtórzyć wszystko - każde słowo rozmowy, nawet rytm wystrzałów - z pamięci. I zawsze kończy się tak samo: rozrzucone członki, kości trzeszczące pod nogami i ciało pana Reeda rozpadające się na maleńkie okruszki, odpadające od szkieletu jak ser ścierany na tarce, jak gnijące ciało trędowatego.

Janie próbuje iść korytarzem, kurczowo trzymając się poręczy. Sen tak ją absorbuje, że nie jest w stanie skoncentrować się na tyle, by liczyć drzwi. Rusza dalej, wyciągając przed siebie rękę. Idzie, aż uderza w ścianę. Zaczyna tracić czucie w dłoniach i stopach. Chce to przerwać. Cofa się osiem, dziesięć, może dwanaście kroków i pada na podłogę przed drzwiami pokoju pana Reeda. W głowie jej huczy, gdy rusza z nim do bitwy.

Próbuje odnaleźć jego drzwi, by móc je zamknąć. Próbuje i nie czuje niczego. Nie wie, czy czegoś dotyka, czy nie. Jest sparaliżowana. Zdrętwiała. Zdesperowana.

Na krwawej plaży pan Reed macha na nią, by szła za nim.

- Tutaj. Za tym będziemy bezpieczni - mówi.

- Nie! - próbuje krzyknąć Janie, ale z jej ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

Nie jest w stanie zwrócić na siebie jego uwagi. - Nie tutaj! - Wie, co się stanie.

Palce pana Reeda odpadają pierwsze.

Potem nos i uszy.

Patrzy na Janie.

Jak zawsze.

Jakby go zdradziła.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - szepcze.

Janie nie może mówić, nie może się poruszyć. Próbuje z tym walczyć, raz po raz ponawia próby. Czuje się tak, jakby jej głowa miała lada chwila eksplodować.



Umrzyj wreszcie, starcze, ma ochotę krzyczeć. Nie dam rady przeżyć tego jeszcze raz!

Wie, że już prawie po wszystkim.

Ale nagle zdarza się coś jeszcze. Coś nowego.

Kiedy stopy pana Reeda odpadają od kostek i stoi chwiejnie na kikutach, nagle odwraca się do niej. Oczy ma rozszerzone z przerażenia, wokół szaleje bitwa.

- Podejdź bliżej - mówi. Dłońmi bez palców rzuca jej karabin. Gdy to robi, jego ręka odrywa się od barku i spada na plażę, rozsypując się w pył. I nagle zaczyna płakać. - Pomóż mi. Pomóż mi, Janie.

Janie otwiera szeroko oczy. Widzi wrogów, ale wie, że oni nie widzą jej. Jest bezpieczna. Patrzy w błagające oczy pana Reeda.

Unosi karabin.

Celuje.

I pociąga za spust.

Godzina 22.59

Janie leży zwinięta na leżance na kółkach we wschodnim skrzydle, gdy ryk wystrzałów ze snu starego pana Reeda nagle cichnie. Mruga, widzi coraz lepiej. Patrzą na nią dwie salowe z domu opieki. Unosi się, potem siada. Huczy jej w głowie.

- Ostrożnie, skarbie - mówi kojący głos. - Miałaś jakiś atak, czy coś. Poczekajmy na doktora, dobrze?

Janie przekrzywia głowę i nasłuchuje cichego alarmowego pikania. Po chwili je słyszy.

- Pan Reed umarł - mówi ochryłym głosem. Pada z powrotem na leżankę i traci przytomność.

22 czerwca 2005

Doktor mówi:

- Musimy zrobić parę badań. Tomografię.

- Nie, dziękuję - mówi Janie. Jest uprzejma, ale stanowcza.

Doktor spogląda na jej matkę.

- Pani Hannagan?

Mama Janie wzrusza ramionami. Wygląda przez okno. Ręce jej się trzęsą, gdy

nerwowo dotyka suwaka torebki.

Doktor wzdycha zrozpaczony.

- Proszę pani - próbuje jeszcze raz - a jeśli będzie miała atak, kiedy będzie prowadziła samochód? Albo przechodziła przez ulicę? Proszę o tym pomyśleć.

Pani Hannagan zamyka oczy. Janie odchrząkuje.

- Możemy już iść?

Doktor długo patrzy na Janie. Patrzy na jej matkę, która wbija wzrok we własne kolana. I znów spogląda na Janie.

- Oczywiście - mówi łagodnie. - Czy możesz mi coś obiecać? Nie tylko dla twojego bezpieczeństwa, ale i dla innych na drodze. Proszę cię, nie siadaj za kierownicą.

To się nie zdarzy, kiedy prowadzę, chciałaby mu powiedzieć Janie, żeby się tak bardzo nie martwił.

- Jasne. Obiecuję. Zresztą i tak nie mamy samochodu.

Pani Hannagan wstaje. Janie wstaje. Doktor też wstaje.

- Zadzwoń do naszej przychodni, jeśli to się powtórzy, dobrze? - Wyciąga rękę i Janie ją ściska.

- Oczywiście - kłamie. Wychodzą do poczekalni.

Janie wysyła mamę na przystanek autobusowy.

- Zaraz przyjdę.

Mama wychodzi z przychodni. Janie płaci rachunek. Sto dwadzieścia dolarów wziętych z oszczędności na college. Może sobie tylko wyobrazać, ile kosztowałyby tomografia. A nie ma zamiaru wydawać ani jednego centa więcej tylko po to, żeby ktoś jej powiedział, że jest nienormalna.

Taką diagnozę może mieć za darmo.

Janie czeka, aż mama zapyta, o co chodziło. Ale równie dobrze może czekać, aż na księżycu wyrosną kwiatki. Mama po prostu ma w nosie wszystko, co dotyczy Janie. Zawsze miała w nosie.

I to jest cholernie smutne.

Tak uważa Janie.

Ale czasami też cholernie wygodne.

28 czerwca 2005

Kiedy lekarz mówi nastolatce, że ma nie siadać za kółkiem, w jakiś sposób staje się strasznie ważne, żeby to zrobić. Żeby mu udowodnić, że nie miał racji.

Janie i Carrie jadą odwiedzić Stu w warsztacie blacharskim. Stu widzi je z daleka.

- Oto i ona, mała - mówi Stu. Nazywa Janie „małą”, co jest trochę dziwne, jako że Janie jest dwa miesiące starsza od Carrie.

Janie kiwa głową i się uśmiecha. Delikatnie przeciąga dłonią po masce, wyczuwając wszystkie krzywizny. Auto ma kolor maślanki. Jest starsze od Janie. I jest piękne.

Stu wręcza jej kluczyki, a Janie odlicza tysiąc czterysta pięćdziesiąt dolarów w gotówce.

- Bądź dla niej dobra - mówi smętnie Stu. - Zacząłem nad nią pracować, kiedy miała siedemnaście lat, a ja trzynaście. Teraz mruczy jak kotka.

- Będę. - Janie się uśmiecha. Wsiada do chevroleta nova rocznik '77 i zapala silnik.

- Ma na imię Ethel - dodaje Stu z lekko zażenowaną miną.

Carrie chwyta poplamioną olejem dłoń Stu i ściska ją.

- Janie jest naprawdę dobrą kierowcą. Mnóstwo razy jeździła moim autem. Ethel nie będzie. - Cmoka Stu w policzek. - Do zobaczenia wieczorem - mówi ze skromnym uśmiechem.

Stu puszcza do niej oko. Carrie wsiada do swojego forda, a Janie usadawia się za kierownicą nowego samochodu. Głaszcze deskę rozdzielczą, a Ethel odpowiada mruczeniem.

- Dobra Ethel - mówi pieszczotliwie Janie.

29 czerwca 2005

Po incydencie z panem Reedem dyrektorka domu opieki zmusiła Janie, by wzięła tydzień wolnego. Kiedy Janie zaczęła kwękać, że to za długa przerwa, dyrektorka obiecała jej dyżury czwartego lipca i w Święto Pracy, za które płaci się podwójnie. Janie jest zadowolona.

Po urlopie Janie jedzie do pracy nowym samochodem. Myje podopiecznych i opróżnia z tuzin basenów. Dla zabawy śpiewa smętną piosenkę z *Nędzników*, zmieniając słowa na *Puste nocniki i puste pęcherze*. Pani Stubin, emerytowana nauczycielka, która przepracowała w szkole czterdzieści siedem lat, śmieje się po raz pierwszy od tygodni. Janie notuje w myślach, żeby przynieść nową książkę, którą będzie jej czytała.

Pani Stubin nigdy nie miewa gości.

I jest niewidoma.

Może dlatego jest ulubienicą Janie.

4 lipca 2005, godzina 22.15

Trzy rezydentki na wózkach inwalidzkich i Janie na pomarańczowym plastikowym krzeselku siedzą na ciemnym parkingu domu opieki. Czekają. Tłuką komary. Lada chwila mają się zacząć fajerwerki w parku Selby, tylko kilka przecznic dalej.

Jedną z rezydentek jest pani Stubin. Jej powykręcane dłonie leżą na kolanach, kropiółka wisi na stojaku obok wózka. Nagle pani Stubin przechyla głowę i uśmiecha się tęsknie.

- Zaczyna się - szepcze.

Po chwili niebo eksploduje kolorami.

Janie szczegółowo opisuje pani Stubin każdy świetlisty wybuch.

„Zielony roziskrzony jeżozwierz”, mówi.

„Iskry tryskające z różdżki czarodzieja”.

„Idealny krąg białego światła, który rozlewa się w kałużę i wysycha”.

Po świetlistym liliowym rozbłysku Janie zrywa się nagle z krzesła.

- Drogie panie, proszę się nigdzie nie wybierać, zaraz wracam. - Pędzi do sali rehabilitacyjnej, porywa plastikowy pojemnik i wraca szybko na parking.

- Proszę - mówi zasapana, ujmując dłoń pani Stubin. Ostrożnie, delikatnie, prostuje jej zgięte palce. Wsuwa w dłoń starszej pani gumową piłeczkę z kudełkami. - Ten ostatni wyglądał dokładnie jak to.

Twarz pani Stubin się rozjaśnia.

- Ten chyba podoba mi się najbardziej - mówi.

2 sierpnia 2005, godzina 23.11

Janie wychodzi z domu opieki i jedzie sześć i pół kilometra do domu. Jest piekielnie gorąco, więc wymyśla Ethel łagodnie za brak klimatyzacji. Opuszcza szyby i rozkoszuje się powiewem gorącego wiatru na twarzy.

Godzina 23.18

Zatrzymuje się przed znakiem stopu na ulicy Waverly, niedaleko domu. Przecina skrzyżowanie.

Godzina 23.19

I nagle znajduje się w jakimś obcym domu. W brudnej kuchni. Zbliża się do niej młody ogromny człowiekopotwór z nożami zamiast palców.

Janie, nie widząc drogi, wciska hamulec i wrzuca na luz. Sięga na oślep do ręcznego hamulca i ciągnie wajchę, zanim jej ciało odmówi posłuszeństwa. Tym razem ostro ją dopadło.

Człowiekopotwór przeciąga po podłodze kuchenne krzesło z plastikowym siedziskiem, podnosi je i kręci nim młynka nad głową.

Ale to nie jest ręczny hamulec. To dźwignia do otwierania maski.

Nagle on wypuszcza krzesło. Mebel leci w stronę Janie, utracając wentylator pod sufitem.

Janie nie wie, że otworzyła maskę.

Rozgląda się gorączkowo dookoła, by zobaczyć, w co trafi krzesło. Albo w kogo.

Zaczyna drętwieć. Jej stopa zsuwa się z pedału hamulca.

Samochód stacza się z drogi.

Powoli.

Ale nie ma nikogo innego. Nikogo, oprócz człowiekopotwora z palconożami, i Janie. Aż nagle otwierają się drzwi i zjawia się mężczyzna w średnim wieku. Przechodzi na wylot przez Janie. Z nóg krzesła lecącego w zwolnionym tempie wyskakują noże.

Samochód o milimetr mija skrzynkę pocztową.

Krzesło trafia mężczyznę w pierś i głowę. Głowa, równo odcięta od tułowia,

turla się po podłodze, zataczając pełne kółko.

Samochód zatrzymuje się w płytkim rowie, w ogródku przed małym zaniedbanym domem.

Janie gapi się na ogromnego młodzieńca z nożami zamiast palców. Potwór podchodzi do głowy martwego mężczyzny i kopie ją jak piłkę. Głowa wylatuje przez okno, tłukąc szybę z głośnym brzękiem, dziewczynę zaś oślepia nagły błysk światła...

Godzina 23.31

Janie z jękiem otwiera oczy. Opiera głowę o kierownicę. Z rozciętej wargi płynie krew. A Ethel zdecydowanie nie stoi poziomo. Kiedy Janie widzi nieco wyraźniej, wygląda przez okno, a kiedy może się ruszyć, powoli wysiada. Obchodzi auto, widzi, że nie jest ranne i że nie utknęło. Delikatnie zatrząskuje maskę, wsiada do samochodu i powoli wycofuje.

Kiedy dociera na podjazd przed domem, wzdycha z ulgą, po czym zapamiętuje dokładne położenie ręcznego hamulca, by móc go znaleźć po omacku. Patrzy na kluczyki dyndające w stacyjce. A właśnie że będą jeździła, myśli.

Następnym razem będzie przygotowana.

Może powinna była kupić samochód z automatyczną skrzynią biegów.

Ma szczerą nadzieję, że nie przytrafi jej się coś takiego na autostradzie.

Godzina 0.46

Janie leży w łóżku, całkowicie rozbudzona. Wystraszona.

Gdzieś w głębi głowy wyraźnie słyszy odgłos ostrzenia noży. Im bardziej stara się nie zastanawiać, czyj to mógł być sen, tym intensywniej o tym myśli. Wie, że nie może nigdy więcej jeździć tą ulicą.

Zastanawia się, czy skończy tak, jak jej przyjaciółka z domu opieki, pani Stubin - całkiem sama.

Albo zginie w wypadku samochodowym przez to głupie przekleństwo ze snami.

25 sierpnia 2005

Carrie przychodzi do Janie z plikiem listów w garści. Janie ma na sobie podkoszulek i bokserki. Jest gorąco i wilgotno.

- Plany lekcji przyszły - mówi Carrie. - Ostatni rok, mała! Nareszcie!

Podekscytowane, razem otwierają swoje plany lekcji. Kładą jeden obok drugiego na stoliku i porównują.

Na ich twarzach pojawia się rozczarowanie, a potem znów radość.

- Więc mamy razem pierwszą godzinę angielskiego i piątą, - naukę własną. Nie jest najgorzej - mówi Janie.

- I przerwę na lunch - dodaje Carrie. - Czekaj, sprawdzę, co ma Melinda. Zaraz wracam. - Wstaje, żeby wyjść.

- Przecież możesz zadzwonić ode mnie - mówi Janie, przewracając oczami.

- No tak, ale...

Janie czeka, aż Carrie wyjaśni. Ale nagle do niej dociera.

- Och - mówi. - Kumam. Identyfikacja numerów. Kurde, Carrie.

Carrie patrzy na swoje buty i się wymyka. Janie zagląda do zamrażarki w poszukiwaniu lodów. Wcina je prosto z pudełka. Czuje się podle.

6 września 2005, godzina 7.35

Carrie i Janie jadą do szkoły oddzielnie, bo Janie o trzeciej musi być w pracy Macha przez okno, słysząc klakson Carrie. No więc zaczęło się, myśli.

Janie nie jest szczególnie wniebowzięta, że zaczyna ostatni rok liceum. A już w ogóle nie jest zachwycona, że naukę własną ma zaraz po lunchu.

Myje zęby, łapie plecak. Jeszcze raz zerka w lustro i wychodzi z domu. Przystaje na chwilę, widząc migające czerwone światła gimbusa, którym kiedyś dojeżdżała do szkoły. Uśmiecha się z wyższością na widok kotów wspinających się po schodkach do autobusu. Większość z nich ma na sobie ciuchy niemodne od pięciu lat - odziedziczone po rodzinie albo kupione w lumpeksach.

- Znajdźcie sobie pracę i wynoście się z południowego Fieldridge - mruczy pod nosem. Ale przynajmniej mają przewagę liczebną nad tymi z Północnej Strony.

Ethel mruczy.

Janie jedzie aż do świateł. Jedną przecnicę przed „złym” domem przy ulicy Waverly skręca, żeby pojechać dłuższą drogą. Nie ma zamiaru ryzykować. Zwalnia, widząc kogoś ze złachanym plecakiem, idącego ulicą w jej kierunku. Z początku go nie rozpoznaje.

I nagle wie, kto to jest.

Wygląda inaczej.

Nie ma pod pachą deskorolki.

- Przegapiłeś autobus - mówi Janie przez otwarte okno. - Wsiadaj. Podwiozę cię.

Cabel zerka na nią nieufnie. Rysy mu zmężniały. Nosi okulary, nowe, fajne, bez oprawek. Jego szczeka jest zdecydowanie kwadratowa. Wydaje się chudszy, a jednocześnie bardziej muskularny. Jego włosy, falujące, do ramion, są lekko cieniowane - nie są już granatowoczarne ani tłuste, ale jaśniejsze, złotobrązowe. Długa grzywka, która w zeszłym roku włąziła mu do oczu, w tym roku jest założona za uszy. I wygląda na świeżo umytą. Cabel waha się przez chwilę, ale w końcu otwiera drzwiczki od strony pasażera.

- Dzięki. - Jego głos jest niski i szorstki. - Jezu - burczy, próbując zmieścić kolana w kabinie.

Janie sięga między nogi.

- Złap za swoją wajchę - mówi.

Cabel unosi brew.

- Do regulacji siedzenia, kołku. Musimy pociągnąć razem. To kanapa, jak widzisz. - Ciągną za dźwigniki i siedzenie przesuwa się o jeden ząbek. Janie sprawdza, czy da radę wcisnąć sprzęgło do końca. Wrzuca jedynekę. Cabel zatrząskuje drzwiczki.

- Jesteś na złej ulicy - stwierdza.

- Wiem.

- Myślałem, że się zgubiłaś, czy coś.

- Chyba żartujesz. No więc... robię sobie taki objazd. Nie jeżdżę już Waverly. Jestem przesadna.

Cabel spogląda na nią i wzrusza ramionami.

- Niech ci będzie.

Przez pięć minut jadą w niezręcznym milczeniu. W końcu Janie przewraca oczami i mówi:

- Więc... jaki masz plan lekcji?

- Nie mam pojęcia.

- Okej... - Konwersacja zdycha.

Po chwili Cabel otwiera plecak i wyjmuje zapieczętowaną kopertę. Otwiera ją takim gestem, jakby to było strasznie męczące zadanie, i patrzy na swój plan.

- Anglik, matma, hiszpański, technika, lunch, nauka własna, WOS, WF - mówi znudzony.

Janie nagle czuje się zażenowana.

- Hm. Ciekawe.



- A twój ? - Mówi to zbyt grzecznie, jakby prowadził przymusową pogawędkę z własną babcią.

- No więc... w sumie... - Janie wzdycha. - ..bardzo podobny. No.

Cabel wybucha śmiechem.

- Nie zabij mnie entuzjazmem, Hannagan. Pozwolę ci ściągać na klasówkach.

Janie uśmiecha się kwaśno.

- Jasne. Na pewno będę chciała.

Spogląda na nią.

- A jaką masz średnią?

- Trzy przecinek osiem. - Janie pociąga nosem.

- No tak, więc oczywiście nie potrzebujesz pomocy.

- A ty jaką masz?

Cabel poprawia się na siedzeniu i chowa plan lekcji do plecaka.

- Nie mam pojęcia.

To była najdłuższa rozmowa, jaką Janie odbyła z Cabelem Strumhellerem przez te wszystkie lata, od kiedy go zna. W sumie. Wliczając w to pięć kilometrów na deskorolce.

Godzina 12.45

Janie spotyka się z Carrie w czytelnii. Trzecie klasy mają naukę własną w bibliotece, żeby mieć dostęp do książek i komputerów, jest więc nadzieja, że będą naprawdę pracować, a nie spać. Janie jest dobrej myśli. Znajduje sobie stolik w najdalszym kącie czytelnii.

- Jak leci? - pyta przyjaciółkę.

- Przyzwoicie - mówi Carrie. - Z Melindą mam tylko anglika. Ale, ale, wdziakaś tego nowego?

- Jakiego nowego?

- Na angielskim.

Janie robi zdezorientowaną minę.

- Nie zauważyłam. Carrie ogląda się ukradkiem.

- O kurde! - szepcze. - Idzie.

Janie podnosi wzrok. Carrie gapi się na nią, bojąc się odwrócić jeszcze raz. Chłopak kiwa jej głową na powitanie. Janie macha do niego dyskretnie.

- Och, chodzi ci o niego? - mówi do Carrie.

- Nie mów, że do niego pomachałaś.

- Niby do kogo?

- Do tego nowego! Czy ty mnie nie słuchasz? - Carrie podskakuje na krześle.

Janie uśmiecha się niewinnie.

- Patrz. - Wstaje, podchodzi do stolika, przy którym usiadł nowy, i przysuwa sobie krzesło, ustawiając je tak, by widzieć Carrie.

- Mam do ciebie pytanie - mówi Janie.

- Zdawało mi się, że nie potrzebujesz mojej pomocy - odpowiada chłopak, grzebiąc w plecaku.

- Nie tego rodzaju.

- No to słucham.

- Czy nie zauważyłeś dzisiaj przypadkiem dziwnych spojrzeń pod swoim adresem?

Chłopak wyciąga z plecaka zeszyt i zdejmuje koszulę, pod którą ma luźny biały podkoszulek. Składa nieporządnie koszulę, kładzie ją na plecaku, odgarnia włosy za uszy i opiera głowę na koszuli. Muskularne ramiona układa wokół tej prowizorycznej poduszki.

- Nie zauważyłem. - Zdejmuje okulary i odkłada je na bok.

Janie, zamyślona, kiwa głową.

- Rozumiem. Więc... nie wiesz, jakie masz lekcje, nie znasz swojej średniej, nie zauważasz dziewczyn, które ślinią się na twój widok...

- Bzdura - mówi, zamykając oczy.

- Więc na co ty zwracasz uwagę?

Cabel otwiera oczy. Podnosi głowę. Przez długą chwilę patrzy na Janie. Jego oczy są jedwabiście brązowe. Nigdy wcześniej tego nie zauważyła.

Przez ułamek sekundy Janie zdaje się, że coś w nich dostrzega, ale to coś błyskawicznie znika.

- Phi. Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział.

Janie posyła mu krzywy uśmiech, wzrusza ramionami i lekko kręci głową, nagle ogarnięta ciepłymi uczuciami.

- Spróbuj.

Cabel unosi sceptycznie brew.

- No, wiesz... może kiedyś - mówi w końcu Janie. Bierze jego koszulę i składa ją od nowa, guzikami do środka. - Żebyś nie miał odcisków na twarzy.

- Dziękuję - odpowiada Cabel. Wciąż patrzy jej w oczy. Badawczo. Ściąga brwi.

Janie odchrząkuje.

- Więc, hm... mam oświecić Carrie, że nie jesteś żadnym nowym?

Cabel mruga.

- Co?

- Połowa dziewczyn w szkole myśli, że jesteś nowym uczniem. Cabel, no, wiesz.

Wyglądasz inaczej niż w zeszłym roku.

Słowa wydobywają z jej ust jakoś niepewnie i brzmią zupełnie nie tak, jak trzeba.

Cabel patrzy na nią, zdezorientowany.

- Jak mnie nazwałaś?

Janie czuje ściskanie w żołądku.

- Hm... Cabel? On się nie uśmiecha.

- Za kogo ty mnie bierzesz?

Może Janie jest w czymś dziwnym śnie i o tym nie wie?

Wpada w panikę.

- O Boże, nie - szepcze. Wstaje gwałtownie i próbuje przejść obok niego. On łapie ją za rękę.

- Prr, koniec jazdy - mówi. - Siadaj.

W oczach Janie wzbierają łzy. Zakrywa usta dłonią.

- Jezu, Janie, tylko cię trochę wkręcę. Przepraszam. Hej.

Wciąż trzyma jej nadgarstek.

Janie czuje się jak idiotka.

- No, Hannagan, spójrz na mnie, co? Posłuchaj mnie. Janie nie może na niego spojrzeć. Widzi Carrie podnoszącą się z krzesła, zerkającą nad regałami z książkami z zaniepokojoną miną. Janie macha do niej, że wszystko w porządku. Carrie siada.

- Janie.

- Czego? - mówi, czując, że twarz jej płonie. - I bądź łaskaw mnie puścić, bo zawołam ochronę.

Cabel puszcza jej nadgarstek jak pieczonego ziemniaka.

Jego źrenice się rozszerzają.

- Przepraszam - wzdycha. - Jestem dupkiem. - Odwraca wzrok.

Janie wraca do swojego stolika i siada, nieszczęśliwa.

- Co to było? - syczy Carrie.

Janie spogląda na nią i przywołuje na twarz spokojny uśmiech. Kręci głową.

- Nic. Tylko ten nowy powiedział mi... że... - Próbuje zyskać na czasie, udając, że szuka długopisu. - Ze... hm... że rozwiązuję te równania z matmy zupełnie źle. A ja... no,

znasz mnie przecież. Nie cierpię się mylić. Z matmy jestem najlepsza. - Wyjmuje kartkę i otwiera podręcznik do matematyki. - Teraz muszę zacząć wszystko od początku.

- Kurde, Janie, miałaś taką minę, jakby co najmniej zagroził, że cię zabije, czy coś.

Janie się śmieje.

- No co ty.

Godzina 13.30

Cabel próbuje przyciągnąć spojrzenie Janie na lekcji wychowania obywatelskiego. Janie go ignoruje.

Godzina 14.20

WF. W tym roku jest koedukacyjny Uczniowie kolejno grają w kosza w drużynach pięć na pięć. Chłopaki przeciw dziewczynom.

Janie popełnia najbardziej ordynarny faul, jaki kiedykolwiek oglądało liceum w Fieldridge. Nowy - kiedy już może - wstaje i upiera się, że to była jego wina.

Nauczyciele naradzają się przez chwilę i uznają, że dziewczyny kontra chłopaki to nie jest najlepszy pomysł, jeśli chodzi o sporty kontaktowe. Trener Crater posyła Janie twarde spojrzenie. Janie nie jest mu dłużna.

Godzina 14.45

Janie wyciera się w pośpiechu po prysznicu i zakłada uniform salowej. Dzwoni dzwonek. Janie zbiera swoje rzeczy i wskakuje do samochodu, żeby nie spóźnić się do pracy.

Godzina 20.01

Tego wieczoru w Domu Opieki „Wrzos” panuje cudowny spokój. Janie wcześniej kończy papierkową robotę i pozostałe obowiązki, by móc odwiedzić panią Stubin. Szura nogami i chrząka, by pani Stubin wiedziała, że ma gościa.

- To ja, Janie. Ma pani ochotę posłuchać paru rozdziałów *Jane Eyre*?

Pani Stubin uśmiecha się ciepło i zwraca twarz w stronę głosu Janie.

- Z przyjemnością, jeśli masz czas.

Janie przysuwa bliżej krzesło dla gości i zaczyna czytać w miejscu, w którym przerwała ostatnim razem. Nie zauważa, kiedy pani Stubin zasypia.

Godzina 20.24

Janie stoi na ulicy w centrum małego miasteczka. Wszystko jest czarno - białe, jak na starym filmie. Niedaleko niej spaceruje młoda para, oglądając wystawy. Janie rusza za nimi. Na wystawach są proste podstawowe towary. Piły i młotki. Przędza i bele materiału. Foremki do pieczenia i blaszane puszki. Suszone produkty spożywcze.

Para zatrzymuje się na rogu i Janie widzi, że młoda kobieta płakała. Mężczyzna jest w wojskowym mundurze.

Młodzieniec łagodnie ciągnie kobietę za róg budynku. Całują się namiętnie. On dotyka jej piersi i coś mówi, ale ona kręci głową - nie. On znów próbuje, ale ona odtrąca jego rękę. Młodzieniec się odsuwa.

- Proszę cię, Martho, pozwól mi się z tobą kochać, zanim wyjadę.

Dziewczyna, Martha, otwiera usta, by powiedzieć „nie”. Ale nagle odwraca się i patrzy na Janie z ogromnym żalem w oczach.

- Nawet we śnie? - pyta.

Czeka na jej odpowiedź.

Janie spogląda na młodego mężczyznę. Chwilowo zamrożony w czasie, patrzy z uwielbieniem na Marthę. Martha błaga, wbijając spojrzenie w oczy Janie.

- Pomóż mi, Janie.

Janie, zdumiona, wzrusza ramionami i kiwa głową. Martha uśmiecha się przez łzy. Odwraca się do młodzieńca, dotyka jego twarzy, jego ust i przyzwala skinieniem głowy. Idą dalej uliczką między domami, oddalając się od Janie. Janie robi krok, by ruszyć za nimi, ale nie chce widzieć nic więcej - ten sen jest zbyt intymny. Z całej siły zaciska ręce na krześle w pokoju pani Stubin, skupia się i wydostaje ze snu. Znow jest w domu opieki.

Jest 20.30. Janie potrząsa głową, by oprzytomnieć. Jest zaskoczona. Ale na jej twarzy powoli pojawia się uśmiech. Zrobiła to - wyrwała się ze snu. I nie wciąga jej z powrotem. Janie śmieje się cicho do siebie.

Pani Stubin śpi spokojnie, z uśmiechem na wąskich zmęczonych wargach. Na pewno przyjemnie jest biednej, starej pani Stubin śnić taki dobry sen.

Janie zostawia książkę na stoliku i po cichu wychodzi z pokoju. Gasi światło i zamyka drzwi, by pani Stubin mogła spędzić trochę czasu sam na sam ze swoim żołnierzem.

Zanim umrze.

I już nigdy nie będzie miała okazji.

9 września 2005, godzina 12.45

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ten nowy chłopak to Cabel Strumheller? - pyta gniewnie Carrie.

Janie podnosi wzrok znad książki. Siedzi w bibliotece, przy tym stoliku co zawsze.

- Bo jestem głupią pindą? - Uśmiecha się słodko.

Carrie próbuje powstrzymać się od śmiechu.

- Owszem, jesteś. Widziałam, że wozisz go do szkoły.

- Tylko kiedy spóźni się na autobus - odpowiada Janie lekko.

Carrie posyła jej przebiegły uśmiech.

- Tak, jasne. No, dobra, do rzeczy. Dostałam się do zespołu przygotowującego księgę pamiątkową, więc rzadko będę na nauce własnej. Teraz też muszę lecieć na pierwsze zebranie.

Janie macha jej, zajęta sztuką, którą czyta na angielski.

- Baw się dobrze. Bądź grzeczna. - Zsuwa się niżej i opiera nogi na krześle naprzeciwko. Czyta *Camelota*, przygotowując się do wyjazdu ostatnich klas do Stratfordu w Kanadzie, na festiwal szekspirowski w przyszłym miesiącu.

Od czasu do czasu zerka nad regalami, by zorientować się, czy ktoś w pobliżu nie wygląda na sennego. Ma nadzieję, że poradzi sobie ze wszystkim w promieniu ponad sześciu metrów, chyba że będzie to koszmar, bo w takim przypadku dystans dramatycznie się skraca. Na szczęście większość szkolnych dziennych snów to albo sny o spadaniu, albo o paradowaniu nago, albo coś erotycznego. Zwykle radzi sobie z takimi przypadkami bez całej szopki z utratą przytomności i padaniem na podłogę.

Tak naprawdę dobijają ją mrożące krew w żyłach koszmary.

Godzina 12.55

Książka zaczyna znikać przed jej oczu. Janie wzdycha i odkłada ją na stolik. Kadzie głowę na rękach i zamyka oczy.

Unosi się w powietrzu. No nie, znowu spadanie, myśli. Sny o spadaniu już jej wychodzą nosem.

Sceneria nagle się zmienia. Teraz Janie jest gdzieś na dworze. Jest ciemno.

Stoi sama, za jakąś szopą, ale słyszy przytłumione głosy. Nigdy wcześniej nie była sama i nie rozumie, jak ktoś może mieć sen, w którym go nie ma. Jest zaciekawiona. Rozgląda się nerwowo, mając nadzieję, że czyjś koszmar nie wyskoczy nagle ze ściany szopy czy z krzaków.

Zza rogu wyłania się monstrualna postać, podświetlona światłem księżyca. Przedziera się przez zarośla, wymachując rękami, po czym unosi dłonie do nieba i koszmarnie wyje. Janie czuje, że jej palce zaczynają drętwieć. Próbuje się wydostać. Ale nie może.

Długie palce potwora połyskują w świetle księżyca.

Janie opiera się plecami o szopę. Drży.

Groteskowa postać ostrzy palconoże jeden o drugi. Dźwięk jest ogłuszający.

Janie, oparta o szopę, piszczy.

Postać obraca się na pięcie. Dostrzega ją.

Podchodzi do niej.

Już widziała tego kogoś.

Tuż przed tym, jak razem z Ethel wylądowały w rowie.

Janie wstaje, próbuje uciekać. Ale jej nogi nie chcą się ruszyć.

Twarz potwora jest wściekła, ale przestał ostrzyć noże. Jest już półtora metra od niej. Janie zamyka oczy. Nic mi nie może zrobić, powtarza sobie.

Kiedy otwiera oczy, jest dzień. Ona wciąż kuli się za stodołą. A przerażająca groźna postać zmieniła się w normalnego młodego człowieka.

Cabela Strumhellera.

Z ciała Janie wychodzi druga Janie i podchodzi do Cabela. Nie boi się.

Janie stoi tam, gdzie była, pod szopą.

Cabel dotyka twarzy drugiej Janie.

Pochyla się.

Całuje ją.

A ona całuje jego.

On wysuwa się z jej objęć i patrzy na Janie stojącą pod ścianą stodoły. Po jego policzkach płyną łzy.

- Pomóż mi - mówi.

Godzina 13.35

Rozlega się dzwonek. Janie czuje, że mgła się rozwiewa, ale nie może się ruszyć. Jeszcze nie. Potrzebuje minuty.

Godzina 13.36

No, może dwóch.

Godzina 13.37

Kiedy czuje dłoń na ramieniu, podskakuje.

Kilometr, metr, centymetr... nie wie.

Spogląda w górę.

- Gotowa? - pyta Cabel. - Nie wiedziałem, czy usłyszałaś dzwonek.

Janie gapi się na niego.

- Dobrze się czujesz, Hannagan?

Kiwa głową i zbiera swoje książki.

- Tak. - Głos jeszcze nie całkiem jej wrócił. Chrząka. - Tak - mówi zdecydowanie. - A ty? Coś ci się odcisnęło na policzku. - Uśmiecha się niepewnie.

- Zasnąłem na książce.

- Domyśliłam się.

- Ty też, co?

- Ja... hm... widocznie byłam naprawdę padnięta.

- Wyglądasz, jakbyś się czegoś wystraszyła. Miałaś zły sen czy co?

Patrzy na niego, gdy idą razem zatłoczonym korytarzem na lekcję wiedzy o społeczeństwie. Cabel kładzie jej dłoń na plecach, żeby tłum ich nie rozdzielił i żeby mogli rozmawiać.

- Niezupełnie - mówi Janie. Mruży oczy. - A ty? - Te dwa słowa padają z jej ust jak strzały z karabinu.

Rozlega się dzwonek. Cabel skręca ostro w drzwi i nagle dostrzega wyraz jej twarzy. Staje jak wryty. Patrzy na nią badawczo spod półprzymkniętych powiek. Janie widzi w jego oczach zdumienie. Cabel czerwieni się lekko, ale Janie nie bardzo wie dlaczego.

Do klasy wchodzi nauczyciel i zagania ich na miejsca.

Janie patrzy przez ramię na środkowy rząd, dwa miejsca za sobą.



Cabel gapi się na nią, zupełnie zbity z tropu. Kręci z niedowierzaniem głową.

Janie spogląda na tablicę. Ale nie widzi jej. Zastanawia się. Zastanawia się, co, do cholery, jest z nią nie tak. I co jest nie tak z nim, że śnią mu się takie rzeczy. Czy on wie? Czy widział ją w tym śnie?

Godzina 14.00

Na stoliku Janie ląduje kulka z papieru. Janie podskakuje, przestraszona, i zerka na Cabela. Siedzi rozparty na krześle, bazgrze coś w zeszycie ze stanowczo zbyt niewinną miną.

Janie rozwija kulkę.

Wygląda ją.

„No, może... (?)”

Tak jest napisane na kartce.

września 2005, godzina 14.55

O maskę jej samochodu opiera się tyczkowata długowłosa sylwetka Cabela Strumheller. Gościa, który widzi potwory i całuje się z nią w jednym i tym samym śnie. Ma mokre włosy.

- Hej - rzuca wesoło Janie. Ona też ma mokre włosy.

- Dlaczego mnie unikasz?

Janie wzdycha.

- A unikam? - Wie, że to brzmi fałszywie.

Cabel nie odpowiada.

Janie wsiada do samochodu.

Zapala silnik.

Wyjeżdża z miejsca parkingowego.

Cabel stoi, gdzie stał, i patrzy. Ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Ma zatroskaną minę.

Janie opuszcza szybę.

- Wsiadaj. Teraz już spóźniłeś się na autobus.

Wyraz jego twarzy się nie zmienia.

Nie rusza się z miejsca.

Janie waha się jeszcze przez minutę.

Cabel robi w tył zwrot i rusza w stronę domu.

Janie patrzy za nim, wzdycha z irytacją i wciska gaz do dechy. Jej opony piszczą na

zakręcie. Idiota.

10 października 2005, godzina 4.57

Na cienkim skrawku papieru, w zaciszu własnego snu, Janie pisze:

„Unikam cię.

Muszę.

Przez to, co o tobie wiem”.

Potem zapala zapałkę, zgniata kartkę i spala ją na popiół. Zwęglone resztki kurczą się i wiatr unosi je nad ulicą, nad ogródkami, do jego domu. On depcze je, idąc do gimbusa. Popiół jest delikatniejszy niż kruche jesienne liście, które gromadzą się wokół narożników schodka przed jego domem. Pod ciężarem jego buta popiół się rozpada. Połyka go wiatr. I już go nie ma.

Godzina 7.15

Janie się budzi. Spóźni się do szkoły. Mruga.

Nigdy wcześniej nic jej się nie śniło - a przynajmniej nie pamięta.

Zawsze ogląda tylko cudze sny.

Śniąc własne, przynajmniej jest wyspana.

Daje swoim prostym ciemnoblonde włosom porządną nauczki za pomocą mokrego grzebienia, myje zęby z prędkością światła, wtyka dwa dolary do kieszeni dzinsów, w dzikim pośpiechu szukając kluczy. Leżą na kuchennym stole. Janie łapie je i mówi „cześć” mamie, która w koszuli nocnej stoi przy zlewie i je ciastko z kremem, gapiąc się tępo przez okno.

- Jestem już spóźniona - mówi Janie.

Mama nie odpowiada.

Janie trzaska drzwiami, ale nie ze złości. Z pośpiechu. Wsiada do Ethel i pędzi do szkoły. Kiedy rozlega się dzwonek, jest dziesięć długich kroków od sali angielskiego, podobnie jak połowa klasy. Przemyka cichutko na swoje miejsce na samym końcu, w pierwszym rzędzie od drzwi, niezauważona przez nikogo z wyjątkiem Carrie, która posyła jej zaspany uśmiech. Ukradkiem wyjmuje pracę domową z matmy, gdy nauczyciel truje o zbliżającej się wycieczce trzecich klas do Stratfordu.

Widzi przed sobą plecy Cabela. Czuje nagłą ochotę, żeby dotknąć jego włosów.

Gdyby mogła go osiągnąć, może by to zrobiła. Kręci głową, zdumiona tym pomysłem. Jest zupełnie zdezorientowana, jeśli chodzi o uczucia wobec niego. To raczej dziwaczne niż miłe wiedzieć, że on o niej śni. Szczególnie że w tym samym śnie jest okropnym człowiekopotworem. Janie przyznaje w duchu, że może nawet trochę się go boi.

I teraz wie, gdzie on mieszka.

Zaledwie dwie przecznice od niej.

W małym domku przy ulicy Waverly.

- Wasze przydziały pokoi - brzęczy pan Purcell, wymachując nad głową plikiem żarówiaście żółtych kartek, co wygląda, jakby z jego czupryny wystrzeliły nagle promienie słońca. Podaje po garści kartek pierwszym osobom z każdego rzędu. - Nie wolno się zamieniać, więc nawet nie próbujcie.

Janie podnosi wzrok. Salę wypełniają chichoty i jęki. Chłopak przed nią nie odwraca się, by podać jej kartkę. Rzuca ją przez ramię. Ale kartka podfruwa i zjeżdża z gładkiego laminatu stolika, zanim Janie udaje się ją złapać. Śmiga nad podłogą i ląduje pod butem Cabela Strumheller. On kopie ją w stronę Janie, nawet nie patrząc. Jego włosy kołyszą się lekko wokół ramion.

Zgodnie z listą Janie trafia do pokoju z trzema bogatymi snobkami z północnego Fieldridge: Melindą Jeffers, która jej nie cierpi, z psiapsiółką Melindy, Shay Wilder, która nienawidzi jej z definicji, i z kapitaną babskiej drużyny piłki nożnej, Savannah Jackson, która udaje, że Janie nie istnieje. Janie jęczy w duchu. Będzie musiała wyspać się w autobusie, podczas jazdy.

Ale jest ciekawa, czy po tylu latach Melinda wciąż śni o Carrie z megabalonami.

## HURRA, KANADA

14 października 2005, godzina 3.30

Janie spotyka się z Carrie na jej podjeździe, pod czarnym niebem. Na powitanie posyłają sobie tylko zaspane uśmiechy i Janie siada na fotelu pasażera forda Carrie. Po ciemku i w milczeniu jadą do szkoły. Janie dziękuje losowi, że nie musi prowadzić o tej godzinie.

Już prawie pod szkołą mijają Cabela Strumheller. Carrie zwalnia i zatrzymuje się, opuszcza szybę i pyta, czy go nie podwieźć, ale on macha z uśmiechem ręką.

- Już prawie jestem na miejscu - mówi. Przed nimi, na szkolnym parkingu, błyszczą w świetle latarni autokar firmy Greyhound.

Janie patrzy na Cabela. On przez moment odwzajemnia jej spojrzenie, po czym wbija wzrok w ziemię. Janie robi się głupio.

Tamta nie - kłótnia, kiedy rozstali się na parkingu, rozpoczęła długą serię nie - kłótni. Teraz nie tylko się nie kłóca, już nawet ze sobą nie rozmawiają.

Ale Janie go widuje, całuje się z nim w jego bibliotecznych snach.

Widuje go też jako szalejącego maniaka. Jako wariata z blinami na twarzy, z palconozami, który raz po raz dźga, kroi i pozbawia głowy wciąż tego samego człowieka w średnim wieku, ciągle od nowa, i od nowa, i od nowa. Dla Janie to niewielka pociecha, że nie morduje nikogo innego.

Przynajmniej na razie.

Nie ja, dzięki Bogu.

I za każdym razem, gdy mu się to śni, dzwoni dzwonek, zanim Janie zdąży wykombinować, jak mu pomóc. Pomóc mu w czym? W jaki sposób?

Nie ma pojęcia. Nie ma takiej mocy. Dlaczego wszyscy ci ludzie proszą ją o pomoc? Przecież ona nie potrafi.

Zwyczajnie.

Nie.

Potrafi.

Ale jedno jest pewne - ostatnimi czasy nauka własna nie idzie jej najlepiej.

Godzina 3.55

Śpiochy, spóźnialscy i olewusy albo zdążyli już przyjść, albo zostali skreśleni z listy przez opiekunów wycieczki. Carrie siedzi z Melindą z przodu autokaru.

Janie siedzi w ostatnim rzędzie po prawej, przy oknie. Tak daleko od wszystkich, jak tylko się da. Torbę podróżną upchnęła do schowka nad fotelem. Stwierdza z zadowoleniem, że toaleta jest z przodu. Przekręca wyświetlacz telewizyjny nad głową, żeby błękitna poświata nie raziła jej w oczy, i rozkłada fotel. Oparcie pochyla się tylko trochę i opiera o tylną ściankę.

Jeszcze nie wszyscy wsiedli do autokaru, a Janie już zaczyna drzemać.

Godzina 4.35

Budzi ją gwałtownie chlapnięcie wodą w twarz. Jest w jeziorze, całkowicie ubrana. Drży. Chłopak o imieniu Kyle wrzeszczy, spadając z nieba nad nią, wciąż od nowa, i od nowa, i od nowa, aż w końcu ląduje w wodzie. Ale nie umie pływać. Janie czuje, że drętwieją jej palce. Zaczyna wierzgać nogami, próbując to powstrzymać, próbując się wyrwać.

I nagle jest po wszystkim.

Janie mruga i siada prosto, zdezorientowana. Nad siedzeniem przed nią pojawia się niewyraźna twarz.

- Co jest, kurna? - pyta Kyle. - Musisz mnie kopać?

- Sorki - szepcze Janie. Jej serce wali jak oszalałe. Sny o tonięciu są najgorsze. No, prawie.

Gdy próbuje wyostrzyć zamazany wzrok, słyszy szept:

- Wszystko w porządku, Hannagan? - Cabel ją obejmuje. W jego głosie słychać niepokój. - Cała się trzęsiesz. Miałaś jakiś atak, czy co? Mam zatrzymać autokar?

Janie spogląda na niego.

- A, hej - chrypi. - Nie wiedziałam, że tu jesteś. Hm... - Zamyka oczy. Próbuje myśleć. Podnosi w górę palec, dając Cabelowi znak, że potrzebuje chwilki. Ale czuje, że następny sen już ją wciąga. Nie ma zbyt dużo czasu. Musi przygotować Cabela. Nie ma innego wyjścia.

- Cabelu, tylko się nie wystrasz, jeśli... kiedy... to się znowu stanie. Nie zatrzymuj autokaru. Nie mów nauczycielowi. Boże, tylko nie to. Cokolwiek by się działo. - Łapie kurczowo podłokietnik i walczy, by zachować zdolność widzenia. - Możesz mi zaufać?

Zaufać mi i po prostu to przeczekać?

Ból koncentracji jest nieznośny. Janie kuli się, obejmując rękami głowę.

- Och, jasna cholera! - krzyczy szeptem. - To był idiotyczny, dumny, pomysł, żeby jechać na tę wycieczkę. Proszę cię, Cabel, pomóż mi. Nie pozwól... żeby ktoś... uf!... mnie zobaczył.

Cabel gapi się na Janie. - Dobrze - mówi. - Dobrze. Jezu. Ale jej już nie ma.

Sny bombardują ją ze wszystkich stron, bez przerwy. Janie jest na granicy przepalenia styków. To fizyczny, psychiczny, emocjonalny trzygodzinny koszmar.

Godzina 7.48

Janie otwiera oczy. Ktoś mówi przez mikrofon.

Kiedy mgła się rozwiewa i Janie znów widzi wyraźnie - nareszcie - Cabel gapi się na nią. Przerazone oczy, potargane włosy. Jego twarz jest biała jak ściana. Obejmuje ją.

A raczej ściska kurczowo.

Janie chce się płakać, i płacze - troszkę. Zamyka oczy i się nie rusza. Nie może się ruszyć. Łzy płyną spod powiek. Cabel delikatnie ociera kciukiem jej policzki.

To sprawia, że łzy płyną jeszcze większym strumieniem.

Godzina 8.15

Autokar się zatrzymuje. Stoi na parkingu McDonalda. Wszyscy wychodzą. Wszyscy z wyjątkiem Janie i Cabela.

- Idź kupić coś Ho jedzenia - ponagla go Janie znużonym szeptem. Głos jeszcze nie całkiem jej wrócił.

- Nie.

- Serio. Nic mi nie będzie, teraz, kiedy wszyscy... wyszli.

- Janie...

- Więc czy możesz mi kupić kanapkę śniadaniową? - Janie wciąż ciężko dyszy. - Muszę zjeść. Coś. Cokolwiek. W prawej kieszeni kurtki mam pieniądze. - Poruszenie ręką wydaje się zbyt dużym wysiłkiem.

Cabel patrzy na nią. Ma zmęczone oczy. Zaczerwienione. Zdejmuje okulary i rozmasowuje nasadę nosa, a potem przeciera oczy. Wzdycha ciężko.

- Jesteś pewna, że nic ci nie będzie? Wrócę za pięć minut, albo i szybciej. - Wygląda

na to, że wcale nie ma ochoty jej zostawiać.

Janie posyła mu zmęczony półuśmiech.

- Nic mi nie będzie. Proszę cię. Chyba nie dam rady wstać, jeśli zaraz czegoś nie zjem.

To było o wiele gorsze, niż się spodziewałam.

Cabel waha się, ale w końcu zabiera rękę zza jej pleców.

- Zaraz wracam. - Wybiega z autobusu. Janie obserwuje go przez okno. Cabel wpada na pusty podjazd dla zmotoryzowanych klientów i stuka w mikrofon. Janie uśmiecha się. Co za debil.

Cabel wraca z torbą pełną kanapek, z plackami ziemniaczanymi, kawą, sokiem pomarańczowym, mlekiem i koktajlem czekoladowym.

- Nie bardzo wiedziałem, co byś chciała - mówi.

Janie, z pewnym wysiłkiem, siada prosto. Wlewa sobie sok do gardła i przetyka, aż nie zostaje ani kropla. To samo robi z mlekiem.

- Z piwem też tak potrafisz?

Uśmiecha się, wdzięczna, że Cabel nie pyta o jej dziwne zachowanie.

- Z piwem nie próbowałam.

- Może to i dobrze.

- A ty? - Janie odgryza kęs kanapki.

- Ja nie piję.

- Nawet odrobiny, od czasu do czasu?

- Nie.

Janie patrzy na niego.

- Miałam cię za imprezowicza. Dragi?

Cabel waha się przez ułamek sekundy.

- *Nada*. Nic.

- No proszę. Ale przez parę lat wyglądałeś na totalnego ćpuna.

Cabel milczy. Uśmiecha się uprzejmie.

- Dziękuję - mówi w końcu.

- Przepraszam.

Gdy Janie wcina, Cabel wbija wzrok w siedzenie przed sobą. Janie podaje mu kanapkę, a on bierze ją, rozpakuje i je powoli. Siedzą w milczeniu.

Janie głośno beka.

On patrzy na nią. Uśmiecha się szeroko.

- Jezu, Hannagan, powinnaś wziąć udział w zawodach. Dzielą się koktajlem

czekoladowym.

Godzina 8.35

Pozostali uczniowie wsiadają do autokaru parami i trójkami. Niektórzy stoją na dworze, paląc papierosy.

Godzina 8.41

Autokar znów rusza w drogę.

- I co teraz? - pyta Cabel. W jego oczach widać troskę. Przeczesuje palcami włosy, które układają się puszyście na jego ramionach.

- Jeśli to się powtórzy, nie martw się. - Janie wzrusza bezradnie ramionami. - Nie wiem, co powiedzieć. Obiecuję, że wyjaśnię ci to wszystko, gdy tylko będę mogła. A tak w ogóle, to gdzie jesteśmy?

- Już dojeżdżamy.

Janie grzebie w kieszeni i wyjmuje banknot dziesięciodolarowy.

- Za śniadanie - mówi.

Cabel kręci głową i odsuwa jej rękę.

- Pozwól mi potraktować to jako naszą pierwszą randkę, dobrze?

Janie patrzy na niego przez długą chwilę. Czuje ściskanie w żołądku.

- Dobrze - szepcze.

Cabel dotyka jej policzka.

- Wyglądasz na wykończoną. Możesz spać?

- Dopóki ktoś inny nie zaśnie, pewnie tak.

W jego oczach znowu pojawia się znużenie.

- Co to znaczy, Janie? - Obejmuje ją. Ona opiera głowę o jego ramię i nie odpowiada.

Po kilku minutach już śpi. Cabel bierze jej dłoń w swoją i splata palce z jej palcami. Patrzy na jej dłoń i opiera policzek o jej włosy. Po chwili on też zasypia.

Godzina 9.16

Janie jest na dworze, w ciemności. Patrzy za siebie i widzi szopę. Tym razem obchodzi ją, by wiedzieć, czy on się zbliża.

Wygląda normalnie - nie jest potworem. Stoi przy tylnych drzwiach domu i zagląda do środka. Po chwili zatrzaskuje drzwi i maszeruje przez suchą żółtą trawę.



Przez drzwi wypada za nim mężczyzna w średnim wieku, wrzeszczy i staje na schodku. W jednej ręce ma prostokątną puszkę, w drugiej piwo i papierosa. Wrzeszczy na Cabela. Cabel odwraca się, by na niego spojrzeć. Mężczyzna rusza wściekle w jego stronę, a Cabel stoi jak sparaliżowany. Czekając, aż tamten się zbliży.

Mężczyzna uderza go pięścią w twarz i Cabel upada. Wije się na plecach jak przewrócony krab, próbując się odsunąć. Mężczyzna celuje w niego wylot puszką i ściska ją. Jakiś płyn tryska na szorty i koszulkę Cabela.

Nagle.

Mężczyzna rzuca w Cabela papierosem.

Cabel się zapala.

W płomieniach tarza się po ziemi.

Piszcząc jak biedny torturowany króliczek.

I wtedy Cabel ulega przemianie. Staje się potworem, a płomienie gasną. Z jego palców wyrastają noże. Jego ciało rośnie, aż robi się wielki jak Hulk.

Janie obserwuje to wszystko zza rogu szopy. Nie chce tego oglądać. Ma dość. Tak strasznie jest być tego świadkiem, że aż dostaje mdłości. Odwraca się gwałtownie.

Za jej plecami, patrząc na nią z przerażeniem, stoi Cabel.

Drugi.

Godzina 9.43

Janie czeka całą wieczność, aż wróci jej wzrok. Aż wróci jej czucie. Spanikowana siada prosto. Sięga ręką, szukając go.

Cabel siedzi pochylony do przodu, z głową opartą na rękach.

Trzęsie się.

Odwraca się *do* niej, a na jego twarzy maluje się wściekłość.

Jego głos jest ochrypły.

- Kurna, co jest z tobą nie tak!?

Janie nie wie, co powiedzieć.

Jego milcząca furia sprawia, że drżą siedzenia.

Godzina 10.05

Cabel nie odzywa się przez całą drogę do Stratfordu. Gdy dojeżdżają, mówi tylko szorstko:

- Powodzenia.

Wysiada z autokaru i idzie do swojego pokoju.

Janie patrzy za nim.

Zamyka oczy, otwiera i idzie za cheerleaderkami w przeciwnym kierunku, do przydzielonego pokoju.

Gdy wszystkie są już w środku, udają, że się nie widzą.

Janie jest w tym całkiem niezła.

Godzina 14.00

Uczniowie spotykają się w holu. *Camelot* zaczyna się za pół godziny. Janie, wykończona, wsiada do autokaru i znów zajmuje miejsce w ostatnim rzędzie. Cabel się nie zjawia.

Godzina 14.33

Zaczyna się przedstawienie. Janie wymyka się ze swojego miejsca przy scenie, na parterze, i znajduje sobie zaciszny kąt na niemal całkiem pustym balkonie. Śpi twardo przez trzy godziny i budzi się na finałową scenę. Przemyka się z powrotem na parter i razem z innymi idzie do autokaru.

Godzina 18.01

Autokar zajeżdża do Pizza Hut. Mają godzinę, by coś zjeść, zanim wrócą na wieczorne przedstawienie.

Janie zamawia małą pizzę na wynos, zjada ją w autokarze i idzie spać. Przesypia całe przedstawienie. Nikt jakoś nie zauważył, że nie wysiadła z autokaru.

Godzina 23.33

Autokar podjeżdża pod hotel. Większość uczniów jest wykończona. Janie pada na łóżko. Jest odrętwiała, ale nie od czyjegoś snu. Nie tym razem. Myśli o Cabelu. W ciemnym pokoju płacze cicho w poduszkę. Kaloryfer mruczy głośno. Savannah, kapitanka drużyny piłki nożnej, kładzie się na kołdrze obok Janie. Nie rozmawiają. Trzymają się jak najdalej od siebie, każda na swoim brzegu podwójnego łóżka.

15 października 2005, godzina 1.04 - 6.48

Janie przeskakuje ze snu w sen.

Savannah śni o tym, że dostaje się do narodowej kadry kobiecej piłki nożnej i poznaje legendarną Mię Hamm, choć Mia Hamm jest już na emeryturze. Ten sen mógłby być odcinkiem *Hannah Montany* - co za niespodzianka. Kiedy Janie zaczyna się zastanawiać, czy Savannah ma w sobie choć odrobinę głębi, w jej śnie pojawia się Kyle, chłopak, który siedzi przed Janie w autokarze. Ciekawa z nich parka. Janie jest zaintrygowana.

Aż nagle dopada ją sen Melindy.

Melinda - co nie jest wielką niespodzianką - odstawia erotyczny trójkącik z Shay Wilder, która śpi z nią w tym samym łóżku, i z Carrie. Seks z początku jest zwyczajny, a potem, zdaniem Janie, w niewiarygodnie złym guście. Ciała Carrie i Shay, łagodnie mówiąc, są tu i ówdzie mocno przerysowane. Po raz pierwszy w cudzym śnie Janie udaje się odwrócić głowę.

Uważa to za ogromne zwycięstwo.

A potem jest Shay.

Shay śni o Cabelu Strumhellerze.

Bez przerwy.

I na wszystkie sposoby.

Rano Janie nienawidzi Shay z całego serca. I ma potworne sińce pod oczami.

Godzino 8.08

Shay, Melinda i Savannah schodzą na śniadanie. Poranek w teatrze zaczyna się o dziesiątej.

- Do zobaczenia w autokarze - rzuca Janie, choć umiera z głodu. Dziewczyny nie zaszczycają jej odpowiedzią. Janie przewraca oczami.

Bierze prysznic, owija głowę ręcznikiem i wskazuje z powrotem do łóżka. Nastawia budzik na dwunastą. O pierwszej autokar ma wrócić po bagaże i uczniów, którzy nie mieli ochoty oglądać trzeciego przedstawienia.

Godzina 8.34

Janie śni po raz drugi w życiu. Tonie w mrocznym jeziorze, a Cabel stoi na brzegu z liną, ale jej nie rzuca. Janie macha do niego gorączkowo, ale on jej nie widzi. Janie powoli zanurza się pod wodę. Pod powierzchnią widzi innych ludzi. Niemowlęta, dzieci, nastolatków, dorosłych. Wszyscy oni unoszą się tuż pod powierzchnią i nikt nie może jej pomóc.

Bo wszyscy nie żyją.

Oczy wyłóżą im z głów.

Janie wrzeszczy, kiedy nareszcie dzwoni budzik. Ręcznik zsunął jej się z głowy, nie widzi niczego spod kołtuna włosów.

Rozlega się nagłące pukanie do drzwi.

I to on.

Trzyma torbę z jedzeniem,

I ma żalostną minę.

Wpycha się obok niej do pokoju, zamyka drzwi i przekręca klucz, bierze Janie za rękę i trzyma ją. Patrzy jej błagalnie w oczy.

- Nie rozumiem - mówi. - Po prostu nie rozumiem. Dlaczego mi to zrobiłaś? - Jest zdesperowany.

Ona też.

- Wyjaśnię ci to - mówi Janie, po czym chowa twarz w jego koszuli i wybucha płaczem. - Tylko dowiedz mnie do domu.

Padają na łóżko i tulą się do siebie w milczeniu.

I nic więcej.

A potem trzeba już jechać do domu.

Godzina 14.00

Janie i Cabel znów siedzą z tyłu autokaru. Carrie i Melinda przed nimi. Po drugiej stronie przejścia całują się Savannah i Kyle. Janie mówi sobie w duchu, że musi zacząć przyjmować zakłady, kto się z kim spiknie.

Przed Savannah i Kyle'em siedzi Shay, a przynajmniej jej bagaż. Sama Shay kwitnie

na podłodze w przejściu obok Cabela i próbuje wciągnąć go w rozmowę. Wściekła, ostentacyjnie ignoruje Janie. Cabel jest chłodny i niezbyt zainteresowany.

Więc Shay stara się bardziej.

Carrie i Melinda odwracają się, żeby pogadać. Cabel gawędzi z nimi i żartuje, a Janie wygląda przez okno. Cabel wsuwa palce w jej dłoń.

Dziewczyny to zauważają.

Carrie puszcza do niej oko.

Melinda patrzy na Carrie płomiennym wzrokiem.

Shay przesuwają się na podłodze i opiera o nogę Cabela. Trzepocze rękami jak wściekła. Wygląda to przerażająco.

W przedniej części autokaru dzieciaki łąją między siedzeniami, śpiewają, gadają. Wszyscy są przytomni i pełni energii. Janie, wdzięczna losowi, zaczyna drzemać, opierając głowę o szybę.

#### Godzina 19.31

Są już z powrotem pod liceum w Fieldridge. Cabel delikatnie budzi Janie, która siada, zastanawiając się, gdzie jest. Cabel się uśmiecha.

- Dojechałaś - szepcze. Bierze ich bagaże i wychodzi za nią z autokaru. Odprowadza ją do samochodu Carrie.

- No, chodź, Cabelu - mówi Carrie. - Pozwól się przynajmniej podwieźć. Chyba że wolisz jechać z Shay... o, właśnie tu idzie. - Carrie chichocze, jej oczy się śmieją.

Cabel patrzy na nią przerażony. Bez słowa siada na tylnym siedzeniu.

- Zabierz mnie stąd. Te cheerleaderki są straszne. Aż mi ciarki po plecach chodzą.

Carrie wybucha śmiechem. Wyjeżdża z parkingu na ulicę przed całą resztą i pyta Cabela:

- To gdzie ty mieszkasz?

- Przy Waverly. Dwa kwartały na wschód od ciebie. Ale przejdę się od Janie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Janie ma jakieś przesady w związku z moją ulicą.

- Ze co? - prychna Carrie.

Janie się śmieje.

- Ze nic! Zamknij się, Cabe.

Carrie parkuje na swoim podjeździe. Na dworze jest chłodno. Rześko. Księżyc w pełni rzuca pomarańczowy blask na dach Ethel na podjeździe domu Janie. Carrie bierze swoje

tobołki i ziewa.

- Idę do domu. Nara. - Człapie do drzwi i wchodzi do domu. Zamykając je za sobą, macha na pożegnanie.

Janie bierze swoją torbę i macha do Carrie. Spogląda na Cabela. Teraz, kiedy są w jej ogródku, czuje się niezręcznie. On odprowadza ją pod drzwi.

- Możesz wejść na chwilę? - pyta Janie, starając się, by w jej głosie nie było słychać zdenerwowania.

- Jasne - mówi Cabel z ulgą. - Hm, zdaje się, że mamy parę spraw do obgadania. Starsi w domu?

- Mama pewnie śpi w swoim pokoju. A więcej nikogo nie ma. Tylko ja i ona.

- Fajnie - mówi Cabel, ale spogląda na nią ze zrozumieniem.

Wchodzą do środka. Jedyne ślad po mamie to pusta ćwiartka wódki i zlew pełen brudnych naczyń. Janie wyrzuca butelkę do śmieci.

- Przepraszam za bałagan - mówi cicho. Jest zażenowana. Kiedy wychodziła wczoraj rano, dom błyszczał.

- Daj spokój. Możemy później posprzątać, jeśli chcesz.

Janie macha ręką, wskazując salon.

- No więc, to wszystko - mówi.

- Sypiasz tutaj, co? - Cabel nie żartuje.

- Nie, mam swój pokój. Chodź. - Prowadzi go. Pokój jest skromnie urządzone i schludny.

- Ładnie tu - mówi Cabel. Spogląda na łóżko i nagle odwraca się i wracają do salonu.

- Głodny?

- Burczy mi w brzuchu - przyznaje Cabel.

- Poczekaj, sprawdzę, czy coś mamy. - Janie przeszukuje szafki kuchenne i lodówkę, ale bez efektu. - A niech to - mówi w końcu. - Nic nie ma.

Zdaje sobie sprawę, że Cabel patrzył na nią przez cały czas.

- Może zjedlibyśmy pizzę?

- Niezły pomysł - mówi Janie.

- Chcesz wyjść?

Janie wzdycha i drapie się w głowę.

- Raczej nie.

- Dobra. To zamawiamy do domu.

Janie odnajduje numer pizzerii U Freda i składa zamówienie.

- Za pół godziny.

Cabel rzuca na stolik dwadzieścia dolarów i siada.

- Cabe.

- Tak.

- Co to jest?

- To jest dwadzieścia dolarów, Hannagan.

Janie wzdycha.

- Bądźmy ze sobą szczerzy, dobrze?

- Oczywiście. Cały nasz związek opiera się na szczeroci. Zgadza się? - Cabel uśmiecha się sarkastycznie i wbija wzrok w podłogę.

Janie krzywi się. Jego słowa wiszą złowróbnie w powietrzu.

- Posłuchaj, przepraszam - zaczyna. - Jestem ci winna sporo wyjaśnień. Ale wiem, że stoisz z kasą tak samo cienko, jak ja. Więc może tym razem ja zapłacę?

- Nie. Następne pytanie.

Janie siada obok niego. Kręci głową.

- Dobra - poddaje się. Podkula nogi i odwraca się przodem do niego. - Powiedz mi - ciągnie Janie - jakim cudem dwa razy znalazłeś się w moim śnie?

Cabel odwraca wzrok, ale po chwili znów spogląda na nią.

- No cóż, więc od razu przechodzimy do rzeczy.

- Tak myślę.

- No dobra, więc... hm... odpowiedź brzmi, niemamkurnapojęcia. A, i daj mi znać, kiedy będzie moja kolej, żeby zadać parę pytań. Bo chciałbym wiedzieć, jakim cudem ty. Wlazaś. W mój sen.

Janie się czerwieni.

- Niektóre twoje sny są nawet fajne.

- Och, doprawdy? - Cabel pochyla się do przodu i ujmuje jej podbródek. To ją zaskakuje. Przyciąga ją do siebie i głaszcze kciukiem jej policzek. A potem całuje.

Janie wsiąka w ten pocałunek. Zamyka oczy i kładzie mu dłoń na ramieniu. Przez chwilę rozkoszują się tym słodkim całusem. Cabel wsuwa palce w jej włosy i przyciąga ją bliżej. Ale zanim zrobi się jeszcze fajniej, Janie się odsuwa. Czuje, jakby jej kończyny były z gumy.

- Cholera - sapie. - Ty... ty...

Cabel uśmiecha się leniwie. Wargi wciąż ma wilgotne od pocałunku.

- Tak?

- Całujesz lepiej, niż sobie wyobrażałam. Lepiej niż we...

Cabel mruga.

- Nie - mówi. - Nie, nie, nie. Nawet mi nie mów, że tam byłaś.

Janie przygryza wargę.

- Może gdybyś przestał sypiać w czytelnicy, nie miałabym o niczym pojęcia.

- Boże kochany! Czy już nie ma nic świętego? Rany. - Odwraca się zawstydzony. -

Może powinnaś zacząć od początku.

Janie wzdycha i opada na oparcie kanapy. To jak przeżywanie tamtych snów. Znowu.

- W skrócie? Wciąga mnie w sny innych ludzi. Nic nie mogę na to poradzić. Nie mogę tego powstrzymać. To mnie doprowadza do szaleństwa.

Cabel patrzy na nią przez dłuższą chwilę.

- Hm... ale jak? To jest zwyczajnie dziwne.

- Nie wiem.

- Czy to świeża sprawa?

- Nie. Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, miałam osiem lat, o ile pamiętam.

- Więc w tym śnie, w moim śnie, kiedy stoję za tobą i patrzę, jak... jak się... - Cabel łapie się za głowę. - Dobrze, więc to w taki sposób widzisz sny, tak? Tak jak ja widziałem swój. Kiedy go śniłem. Uf. - Masuje sobie skronie.

- To było dziwne, co? - mówi cicho Janie. - Wiem, że to wszystko jest dziwne. Przykro mi.

Rozlega się pukanie do drzwi. Janie zrywa się, oddychając z ulgą. Bierze dwudziestkę i idzie otworzyć.

Stawia pizzę i dwulitrową pepsa na stoliku i idzie do kuchni po piwo, szklanki, serwetki i papierowe talerzyki. Nalewa pepsa dla Cabela, a sobie otwiera piwo i wypija łyk. Cabel bierze kawałek pizzy.

- No dobra. Powiedz mi, co jeszcze widziałaś w moim śnie, zanim naprawdę wpadnę w paranoję.

- Dobrze - mówi Janie, nagle trochę zawstydzona. Wypija kolejny łyk pepsa i zaczyna:

- Jesteśmy za tą jakąś szopą czy stodołą. To twoje podwórko?

Cabel kiwa głową, przeżuując pizzę.

- Aż do wczoraj widywałam cię jako tego człowieka - nożyco... - Wzdryga się, nie wiedząc, jak to nazwać - ...tego potwora. Pierwszy raz w domu, w kuchni. Z krzesłem. Tamto było przypadkowe. Nawet nie wiedziałam, że to twój sen. Dopiero później się zorientowałam.



Po prostu tamtędy przejeżdżałam.

Cabel zamyka oczy, kuli się i odkłada pizzę na talerzyk.

- To byłaś ty - mówi powoli. - Byłem pewien, że widziałem już wcześniej twój samochód. Myślałem, że to... ktoś inny. - Milknie, zamyślony. - Wylądowałaś w... o Boże, to to są te twoje rzekome przesady. Cholera. Więc... - Prostuje się z rękami w powietrzu i zamkniętymi oczami. Myśląc. Przetwarzając.

I nagle odwraca się i wybałusza na nią oczy.

- Mogłaś się rozwalić.

- Myślałam, że nikt mnie nie widział.

- Światła... twojego auta. To one mnie obudziły. Świeciły mi w okno... Chryste, Janie.

- Musiałeś mieć otwarte okno w sypialni. Inaczej to by się nie stało. Tak myślę. Nie miałam pojęcia, że to twój dom.

Cabel siada prosto i kręci głową, składając fakty w całość.

- No dobrze - mówi. - Przejdź do tej lepszej części opowiadania, zanim do reszty stracę apetyt.

- Jesteśmy za szopą. Ty do mnie podchodzisz. Dotykasz mojej twarzy. Całujesz mnie.

A ja ciebie.

Cabel milczy.

- No i tyle - kończy Janie.

Przygląda się jej uważnie.

- Tyle?

- Tak. Przysięgam. No i oczywiście to był niezły pocałunek.

Cabel kiwa głową, zamyślony.

- I wtedy zawsze dzwoni ten przeklęty dzwonek.

Janie się uśmiecha.

- No. - Milknie, zastanawiając się, czy wspomnieć o tym, jak on prosi ją o pomoc, ale Cabel mówi już o czymś innym.

- Więc kiedy kilka tygodni temu znalazłem cię półprzytomną na stoliku w bibliotece i potrzebowałaś chwili, żeby usiąść... co to było? Nie spałaś wtedy, zgadza się?

- Nie.

- To był zły sen?

- Tak. Bardzo zły.

Cabel opiera głowę na rękach i zdejmuje okulary. Przeciera oczy.

- Jezu - mówi. - Pamiętam go. - Nie podnosi głowy. Janie czeka. - Więc dlatego

powiedziałaś... kiedy cię zapytałem, czy miałaś zły sen...

- Chciałam... chciałam wiedzieć, czy ty wiedziałeś, że tam byłam, że patrzyłam. Nawet kiedy ludzie mówią do mnie w swoich snach, nikt tego nie pamięta. A przynajmniej nikt o tym nie wspominał.

- Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek cię tam widział czy z tobą rozmawiał... z wyjątkiem tych razów, kiedy mi się śnisz - myśli głośno. - Janie - mówi nagle - a jeśli ja nie chcę, żebyś to widziała?

Janie bierze kawałek pizzy.

- Robię, co się da, żeby wyrwać się z tego... z tych snów. Nie chcę być podglądaczką, ale poważnie, nic nie mogę na to poradzić. To prawie niemożliwe. Przynajmniej na razie. Ale robię postępy. Powoli. - Milknie na chwilę. - Jeśli nie chcesz, żeby na to patrzyła, to po prostu nie śpij w tym samym pomieszczeniu, w którym ja jestem.

Cabel spogląda na nią z przebiegłym uśmiechem.

- Ale ja jestem znany ze spania w szkole. To mój popisowy numer.

- Możesz zmienić swój plan lekcji. Albo ja zmienię swój. Zrobię, cokolwiek zechcesz.

- Patrzy na niedojedzoną pizzę i odstawia talerz. Jest załamana.

- Cokolwiek zechcę - mówi Cabel.

- Tak.

- Obawiam się, że tego snu jeszcze nie widziałaś.

Janie patrzy na niego. On patrzy na nią i robi jej się nagle gorąco.

- Może wolałabym przeżyć to na jawie - mówi.

- Mhm. - Cabel popija pepsa. - Ale zanim ta rozmowa całkiem zboczy z tematu, co właściwie jest z tobą nie tak?

Janie milczy. Już na niego nie patrzy.

- Jezu, właśnie dotarło do mnie, dlaczego tak spanikowałaś, kiedy udałem, że ja to nie ja. Musisz mieć nerwy w strzępach, Hannagan. - Pociąga ją za rękę i Janie przechyla się na kanapie, aż opiera się o niego. Cabel całuje ją w czubek głowy - Nawet nie masz pojęcia, jak fatalnie się po tym czułem.

- Spoko. Przepraszam za tamten faul na WF - ie.

- Nie ma za co. Miałem ochraniacz. - Okręca sobie na palcu kosmyk jej włosów. - Więc kiedy ty sypiasz? No wiesz, tak normalnie?

Janie uśmiecha się smutno.

- Normalnie śpiam całkiem dobrze, kiedy jestem sama w pokoju. Kiedy miałam trzynaście lat, wreszcie poprosiłam mamę, aby wyświadczyła mi tę przysługę i padała

nieprzytomna u siebie w pokoju, zamiast tutaj. Zamknięte drzwi jakimś cudem to blokują. -  
Janie milknie.

- Ale co się wtedy dokładnie dzieje?

Janie zamyka oczy.

- Najpierw tracę wzrok. Niczego nie widzę. I wtedy już mam przechłapanie. Jeśli to jest zły sen, koszmar, to chyba zaczynam się trząść. Najpierw drętwieją mi palce, potem stopy, a im gorszy koszmar, tym bardziej jestem sparaliżowana.

Cabel patrzy na nią.

- Janie - mówi łagodnie.

- Tak?

Głaszcząc ją po włosach.

- Myślałem, że umierasz. Masz drgawki, skurcze, oczy wywracają ci się białkami do góry. Już chciałem wepchnąć ci portfel między zęby, ukraść najbliższą komórkę i dzwonić po pogotowie.

Janie milczy długą chwilę.

- Nie jest aż tak źle, jak wygląda.

- Kłamiesz.

Janie patrzy na niego.

- Tak - mówi. - Chyba tak.

- Kto jeszcze wie? Twoja mama?

Janie wbija wzrok w talerzyk z niedojedzoną pizzą. Kręci głową.

- Nikt. Nawet ona.

- Nie byłeś z tym u lekarza, u kogokolwiek?

- Nie. Właściwie nie. Nie szukałam pomocy.

Cabel unosi rękę.

- Dlaczego? - pyta, nie wierząc własnym uszom. I nagle wie dlaczego. - Przepraszam -  
mówi.

Janie nie odpowiada. Myśli. Intensywnie.

- Wiesz, nikt nigdy nie był tam ze mną tak jak ty. - Jej głos jest miękki, zamyślony.  
Spogląda na niego z ukosa. - Nie rozumiem tego. Jakim cudem ty też się tam znalazłeś?

- Nie wiem. Nagle zrobiło się tak, jakbym patrzył na to wszystko z dwóch punktów  
widzenia. Obserwatora i uczestnika. Jakby taki wirtualny obraz w obrazie.

- I nie próbuj mi wmawiać, że uwierzyłyś w choćby jedno moje słowo, gdybyś nie  
przeszedł przez to ze mną.

Cabel kiwa z powagą głową.

- Masz rację, Hannagan.

Jest dwadzieścia jeden po dziesiątej, kiedy Cabel przy drzwiach mówi jej „dobranoc”.

Opiera się o futrynę, a Janie całuje go lekko w usta.

Cabel zeskakuje ze schodka i rusza w stronę swojego domu, ale zatrzymuje się jeszcze na podjeździe.

- Hej, możemy się spotkać jutro wieczorem? Jakoś koło dziewiątej czy dziesiątej?

Janie kiwa z uśmiechem głową.

- Będę tutaj. Po prostu wejdź. Carrie zawsze tak robi. To nawet fajne.

## PRAWDA CZY WYZWANIE

16 października 2005, godzina 21.30

Niedziela. Dom jest posprzątany. Janie miała wolny dzień. Rano pobiegła po zakupy, a potem odkurzała, prała, pucowała, polerowała i czyściła, co się dało.

Teraz śpi na kanapie.

Cabel nie przychodzi.

Nie dzwoni.

Godzina 23.47

Janie wzdycha, gasi lampę i nieszczęśliwa idzie do łóżka.

17 października 2005, godzina 7.35

Janie bierze plecak i wychodzi z domu. Jest wkurzona. I urażona. Myśli, że wie, dlaczego Cabel się nie pokazał.

Na przedniej szybie Ethel, pod wycieraczką, jest liścik. Mokry od rosy:

„Przykro mi. Cabe”.

Tak, no cóż. Mnie jest jeszcze bardziej przykro, myśli Janie.

Mija go w drodze do szkoły.

On podnosi głowę.

I wacha jej spaliny.

Spóźnia się do szkoły.

Janie z nim nie rozmawia.

Godzina 23.19

Cabel siedzi na schodku pod jej drzwiami.

Janie wraca z pracy.

Wysiada z samochodu, idzie żwirowaną ścieżką i staje przed nim.

- Tak? - mówi.

- Przepraszam.

Janie stoi przed nim, lekko tupiąc nogą. Szukając słów. Gdy przychodzi, wyrzuca je z siebie.

- Więc zwyczajnie wymiękłeś. Jestem wariatką. Przypadkiem *Z Archiwum X*. Domyślałam się, że tak będzie.

- Nie... - Cabel wstaje.

- Spoko. Nie no, naprawdę. - Janie wbiega po schodkach, mija go i po ciemku szamocze się z kluczem. - Teraz wiesz, dlaczego nie chciałam nikomu mówić. - Klucze brzęczą jej w palcach. Janie przeklina pod nosem. - A już szczególnie tobie.

Upuszcza klucze.

- Do licha. - Pociąga nosem, podnosi klucze i odnajduje właściwy.

- A jeśli komuś powiesz... - Jej głos robi się piskliwy. Nareszcie otwiera drzwi. - Dowiesz się, co to znaczy bolesny faul! Ty skończony... cholerny... palancie!

Zatrząskuje drzwi.

## Godzina 23.22

Dzwoni telefon.

- Dupek - mruży Janie. Podnosi słuchawkę.

- Pozwolisz mi wyjaśnić?

- Nie. - Rozłącza się.

Czeka.

Nalewa sobie szklankę mleka.

Wypija.

Przeklina.

Gasi światło w kuchni i idzie do łóżka.

Jest przeklęta na całe życie. Nigdy nie będzie miała chłopaka. A tym bardziej nie wyjdzie za mąż. Do licha, nigdy nie będzie mogła nawet z nikim spać.

Jest kosmitką.

To nie w porządku.

Szlocha, aż trzęsie się łóżko.

18 października 2005, godzina 7.39

Janie dzwoni do szkoły, udając własną matkę.

- Janie dzisiaj nie przyjdzie. Ma grypę.

Dzwoni do domu opieki.

- Jestem chora. - Pociąga nosem. - Nie mogę dzisiaj przyjść.

Wszystkim jest przykro. Sekretarce. Dyrektorce domu opieki.

- Mam nadzieję, że jutro będzie ci lepiej, skarbie ~ mówi dyrektorka.

Ale Janie wie, że nie ma żadnego „lepiej”. Tak już zostanie. Tak wygląda jej życie. Kładzie się z powrotem do łóżka.

## Godzina 12.10

Janie zwleka się z łóżka i, siedząc na podłodze w swoim pokoju, odrabia pracę domową, której nie zrobiła wczoraj wieczorem.

Nie cierpi mieć zaległości w szkole.

Przerabia nawet tematy na zapas.

Matka szura nogami po domu, nie mając pojęcia o obecności Janie. Głupia łajza. To jej wina, bo to ona mnie urodziła, myśli Janie. Obwiniałaby też ojca, gdyby wiedziała, kim on jest. Przypomina sobie kalejdoskopowy sen swojej matki. Jest ciekawa, czy ten hipis Jezus to jej ojciec. Chciałaby wiedzieć, co sprawiło, że matka zrezygnowała absolutnie ze wszystkiego. Ale pewnie nigdy się nie dowie.

I może tak jest lepiej.

## Godzina 14.55

Dzwoni telefon. Odbiera mama.

- Jest w szkole - bełkocze.

Janie nie wiedziała, że jej matka w ogóle odbiera telefony.

## Godzina 16.10

Janie siedzi na kanapie opatulona w koc, z rolką papieru toaletowego pod ręką, i ogląda teleturniej. Do domu wchodzi Carrie.

- Cześć, pindo - rzuca wesoło. - Niezły dzień cię ominął. Jesteś chora?

- Cześć. No. - Na dowód Janie głośno wydmuchuje nos w kawałek papieru toaletowego.

- Wyglądasz koszmarne - stwierdza Carrie. - Masz nos jak pomidor.

- Dziękuję.

Carrie siada na kanapie obok niej.

- Ciekawe... Cabel też wygląda koszmarne - mówi lekko. - Jesteś pewna, że nie chcesz mi o czymś powiedzieć?

- No, raczej pewna.

Carrie wydyma wargi. Po chwili grzebie w plecaku i wyciąga złożoną kartkę. Rzuca ją na stolik.

- To od niego. Ale chyba z nim nie zaciążyłaś, co? Janie patrzy na Carrie.

- Ha, ha.

- No co? Cokolwiek to jest, musi to być poważna sprawa, skoro nie przyszedł do szkoły. Od ósmej klasy nie opuściłaś ani jednego dnia. I przykro mi to mówić, może i wyglądasz jak kupa nieszczęścia, ale nie wydaje mi się, żebyś była chora.

- Myśl sobie, co chcesz - mówi głucho Janie. - Ale zdaje się, że żeby zajść w ciążę, trzeba najpierw uprawiać seks. Tak słyszałam.

- Aha! Więc jednak chodzi o seks! - wykrzykuje triumfalnie Carrie.

- Idź do domu, Carrie.

Carrie szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Seksualne rady i porady, wystarczy krzyknąć przez okno. Janie ma ochotę ją udusić, ale się powstrzymuje.

- Do widzenia - mówi stanowczo.

- Dobra, dobra. Rozumiem. - Carrie idzie do drzwi, ale odwraca się jeszcze z ciekawską miną. - Ale to nie ma chyba nic wspólnego z Cabelem, który miał w ten weekend kłopoty z dragami? - Mruga szybko, uśmiechając się szeroko.

- Co?

- On jest chyba jakimś dilerem albo, no wiesz, takim gościem, który robi za pośrednika. Jak się tam oni nazywają. Więc w sobotę na imprezie balowała z nim Shay. Ale była strasznie nagrzana. Słyszałam, że go zgarnęli. To prawda?

Janie czuje, jak jej żołądek zawiązuje się na supeł.

Chyba zwymiotuje.

- Nie - mówi powoli. - To nie ma z tym nic wspólnego. - Łzy wzbierają w kąciakach jej oczu, więc palcami wciska je z powrotem.

Wesoła mina Carrie znika jak zdmuchnięta.

- Cholera, Janie. Ty o niczym nie wiesz. Janie kręci głową, odrętwiała.

Nie zauważa, kiedy Carrie wychodzi.



19 października 2005, godzina 2.45

Janie leży w łóżku. Nie śpi. Gapi się w sufit. Kłóci się sama ze sobą. Wie, że nie powinna tego robić. Ale nie ma nic do stracenia.

Czuje się jak ostatnia łajza, gdy ubiera się i wymyka z domu. Cicho biegnie przez podwórka, unikając domów, w których są psy.

Zakrada się pod dom Cabela i siada w krzakach pod oknem jego sypialni. Opiera się o ścianę domu i czeka. Jej bluza zahacza o cegły. Jest zimno. Wciąga rękawiczki.

Dreńwieje jej tyłek.

I nogi.

Strasznie się jej nudzi.

Godzina 5.01

Wymyka się, kiedy jest jeszcze ciemno. Czuje się jak złodziejka.

Złodziejka, która odchodzi z niczym.

Godzina 7.36

Janie zbiera książki ze stolika w salonie. Liścik wciąż leży tam, gdzie go zostawiła.

„Naprawdę musimy porozmawiać, Janie. Proszę cię. Błagam. Cabe”.

Nic więcej.

Godzina 7.55

Janie czeka na dzwonek i dopiero wtedy wślizguje się do szkoły. Wchodzi na lekcję angielskiego, zanim pan Purcell zamknie drzwi.

- Wnoszę, że już pani lepiej, panno Hannagan - mówi śpiewnie pan Purcell.

Janie wnosi, że to pytanie retoryczne, i je ignoruje.

Czuje na sobie spojrzenie Cabela.

Nie patrzy na niego.

To tortura, najzwyklejsza tortura.

Na każdej cholernej lekcji, każdego cholernego dnia.

Tortura.

Godzina 12.45

Cabel się poddaje.

Janie przeraża myśl o nauce własnej. Ale on się poddaje. Siada w odległym kącie biblioteki, zdejmuje okulary i opiera głowę na przedramionach.

Janie stwierdza z satysfakcją, że Cabel rzeczywiście wygląda koszmarnie. Tak jak powiedziała Carrie.

Carrie klapie na krzesło obok niej.

Jeśli Cabel ma jakiś sen, Janie go nie odbiera. Sama kładzie głowę na rękach i próbuje się zdrzemnąć. Ale wciąga ją kolejny sen o spadaniu. Tym razem jej własny.

Potem nagle budzi się, wsiąka w cudzy sen i jest z nią Carrie. A raczej Janie jest z Carrie. I ze Stu.

Janie przygląda się z ciekawością.

Carrie najwyraźniej dobrze się bawi.

Wręcz świetnie.

Cztery razy.

Janie ma dość po pierwszym razie.

I nie sądzi, żeby sprzęt Stu mógł naprawdę być taki duży. Z czymś takim w życiu nie zmieściłby się za kierownicą starej Ethel.

Teraz Janie wie, co jeszcze ją w życiu omija. Burczy, kiedy Carrie trąca ją w ramię.

Wstaje.

Jeszcze dwie lekcje.

Janie jest wykończona. A dziś w nocy ma do odwalenia całej dyżur.

Widocznie najpierw musi być gorzej, zanim będzie lepiej.

Jeśli kiedykolwiek będzie lepiej.

Janie w to wątpi.

Godzina 22.14

Pani Stubin jest w śpiączce.

Pracownik hospicjum siedzi przez cały wieczór w jej pokoju.

Janie, niespokojna, stoi w drzwiach.

A potem pani Stubin umiera. Tak po prostu, na dodatek na oczach Janie.

Janie płacze. Nie bardzo wie dlaczego - nigdy przedtem nie płakała z powodu śmierci rezydentów domu. W tej starszej pani było coś wyjątkowego.

Ale cieszy się, że pani Stubin zdążyła się pokochać z tym miłym młodym żołnierzem, nawet jeśli był to tylko czarno - biały sen.

Oddziałowa puszcza Janie do domu trochę wcześniej. Mówi, że Janie wciąż nie wygląda na całkiem zdrową. Janie jest odrętwiała. I wykończona. Nie spała od drugiej w nocy.

Żegna się z panią Stubin. Dotyka jej zimnej powykręcanej dłoni i ściska ją lekko.

## Godzina 22.31

Janie jedzie do domu, powoli, z otwartymi oknami, z ręką na dźwigni ręcznego hamulca. Skręca w Waverly. Mija dom Cabela.

Nic.

Po powrocie do domu pada na łóżko.

Żadnych liścików, telefonów, wizyt. Nie żeby miała nadzieję. Gnojek.

## 22 października 2005

Janie pracuje na dziennej zmianie. Jest sobota. Dziś przydzielono ją do sali robótek ręcznych. Jest zadowolona. Zwykle rezydenci domu opieki nie przysypiają podczas takich zajęć.

W przerwie na lunch okazuje się, że dyrektorka jest w pracy, choć to weekend. Zaprasza Janie do swojego gabinetu i zamyka drzwi.

Janie jest zaniepokojona. Czyżby zrobiła coś złego? Czy ktoś przyłapał ją, gdy była w cudzym śnie, i pomyślał, że się objaja? Siada niepewnie na krześle naprzeciwko biurka dyrektorki. .

- Czy wszystko w porządku? - pyta nerwowo.

Dyrektorka się uśmiecha. Wręcza jej kopertę.

- To dla ciebie - mówi.

- Co to jest?

- Nie wiem. Coś od pani Stubin. Znaleźliśmy to w jej rzeczach, kiedy przyszedł koroner. Otwórz.

Janie wytrzeszcza oczy. Trzęsą jej się ręce. Otwiera kopertę i wyjmuje złożoną kartkę z papeterii. Kiedy ją rozkłada, na podłogę sfruwa mniejszy papierek. Janie czyta. Trudno roz-

różnić litery. Są krzywe. Pisane ręką niewidomej.

„Droga Janie,  
Dziękuję za sny.  
Od jednej podglądaczki dla drugiej -  
Martha Stubin.  
PS. Masz większą moc, niż sądzisz”.

Janie robi głęboki wdech. Jej serce zatrzymuje się na mgnienie. Nie, myśli.  
Niemożliwe.

Dyrektorka podnosi z podłogi mały prostokąt papieru i podaje go Janie. To czek.  
W miejscu na notatkę widnieją słowa „Na college”.  
Pięć tysięcy dolarów.

Janie patrzy na dyrektorkę, która uśmiecha się tak promiennie, że mało twarz jej nie popęka. Spogląda na czek, i znów na list.

Dyrektorka wstaje i ściska ramię Janie.  
- Brawo, kotku. - Pociąga nosem. - Bardzo się cieszę.

Godzina 15.33

Janie wołają do telefonu.

Biegnie do recepcji. Co za dziwny dzień.

Dzwoni mama.

- Na ganku stoi jakiś hipis i mówi, że nie odejdzie, dopóki z tobą nie porozmawia.

Wracasz niedługo? On chce wiedzieć, a ja idę spać.

Janie wzdycha. Co tydzień zapisuje swój grafik na kalendarzu. Ale jest ubawiona. Może dlatego, że dostała czek od pani Stubin. Może dlatego, że mama nazwała Cabela hipisem.

- Będę w domu jakoś po piątej, mamo.

- Mam się bać tego typka na ganku, czy mogę spokojnie iść do łóżka?

- Możesz iść do łóżka. On jest... ech, w każdym razie nie jest gwałcicielem. - O ile wiem, myśli i się rozłącza.

Godzina 17.21

Cabela nie ma na ganku.

Janie wchodzi do domu. W kuchni, na blacie pod brudną szklanką, jest liścik nabazgrany przez mamę.

„Hipis powiedział, że nie może zostać. Wróci jutro. Kocham cię, mama”.

Napisała: „kocham cię, mama”.

To w tym wszystkim jest najbardziej godne uwagi.

Janie drze liścik na strzępy i wyrzuca do przepelnionego kosza na śmieci.

Przebiera się, wrzuca do piekarnika mrożone danie i wyciąga swoje dokumenty zgłoszeniowe do college'u.

Pięć tysięcy. Wie, że to tylko kropla w morzu. Ale zawsze coś.

Tak jak list od pani Stubin.

To jest naprawdę coś.

Janie jeszcze nie potrafi tego ogarnąć.

Przegląda całą stertę dokumentów. Wszystko wygląda obco. Formularze konieczne do uzyskania pomocy finansowej. Podanie o stypendium. Esej z uzasadnieniem, dlaczego powinna je dostać. Jezu. Musi się do tego zabrać.

Nie ma pojęcia, co chciałyby robić w życiu.

Ale nauki ścisłe, matematyka... może jakieś badania? Może badania nad snami?

Albo nie.

Tak naprawdę to wolałyby zapomnieć o tej części swojego głównianego życia.

Dzwoni do Carrie.

- Co robisz?

- Siedzę w domu. Sama. A ty?

- Zastanawiam się, czy któraś z twoich bogatych kumpelek nie urządza dzisiaj imprezy.

Carrie milczy przez chwilę.

- A co? - pyta podejrzliwie.

- Nie wiem - kłamie Janie. - Nudzę się. Nie mogłabym się wkręcić z tobą? Jako twoja dziewczyna czy coś?

- Janie...

- Co.

- Ty nie chcesz tam iść.

- Co? Po prostu się nudzę. Nigdy nie byłam na takiej organizowanej, „eleganckiej” dzamprezie. No, wiesz, kiedy starzy wyjeżdżają i zostawiają całą wódę w barku, żeby dzieci sobie wypily.

Carrie znów przez chwilę nic nie mówi.

- Ty chcesz go szukać, co? Idę do ciebie. - Rozłącza się.

Carrie zjawia się po dziesięciu minutach ze śpiworem.

- Mogę zostać na noc? - pyta słodko. - Od wieków nie miałyśmy pizamowej imprezki. Janie patrzy na nią sceptycznie.

- Co jest grane? - pyta. - Po prostu mi powiedz.

Carrie rzuca graty na kanapę.

- Masz jakąś szamkę? Nic nie jadłam. - Węszy i otwiera piekarnik. - Fuj. Nie możemy ugotować czegoś prawdziwego?

- Dobra - wzdycha Janie. Szpera w kuchni. Lodówka jest dziś zdumiewająco dobrze zaopatrzona. - Mogą być fajitas?

- Miodzio - stwierdza Carrie z zadowoleniem. Przygotowuje dwie wódki z tonikiem, dolewa trochę soku pomarańczowego i podaje drinka Janie.

- Mogłabyś z tym skończyć? - pyta Janie.

- Z czym?

- Z tym słodkim zagadywaniem mnie. Strasznie mnie to wnerwia.

Carrie mruga.

- Nie wiem, o czym mówisz. Lepiej daj mi jakieś warzywa do pokrojenia.

Przygotowują posiłek, robią nawet guacamole. Janie wyciąga mrożone danie z piekarnika, owija w folię aluminiową i chowa do lodówki. Pewnie mama to zje. Na zimno. Na śniadanie, na przykład.

Gdy fajitas są gotowe, Janie porządnie szumi w głowie po drugim drinku, a Carrie pociąga prosto z butelki.

Przenoszą się do salonu i włączają kanał muzyczny.

- Więc powiesz mi, do cholery, co się dzieje, czy nie? - odzywa się Janie.

Carrie wzdycha i spogląda na nią smętnie.

- Och, Janie, ciągle jesteś zabujana w tym Cabelu?

Janie popija drinka i kłamie:

- Już... już mi przechodzi. Nie gadam z nim.

- Widziałam go dzisiaj rano pod twoimi drzwiami. Byłaś w pracy?

- No. Zdaje się, że siedział tu przez cały dzień. Moja mama nazywa go „hipis” - mówi ze śmiechem Janie.

Carrie pociąga kolejny łyk z gwinta.

- Uhu! - mówi, kiedy wódka trafia do żołądka. - Rany. Ee... a tak. Cabel. No więc, jest dzisiaj u Melindy. Z Shay - dodaje.

- No, ba, przecież, że nie z Melindą.

Carrie zerka na nią z zaciekawiona.

- Dlaczego nie z Melindą?

Janie po alkoholu trochę puszcza ją hamulce.

- Carrie! Melindą jest lesbijką. Nie wiedziałaś?

- Co?

- Jest w tobie totalnie zabujana.

- W życiu.

- Właśnie, że tak.

- Skąd to wiesz?

Janie się waha.

Wie, że nie powinna tego mówić.

Ale mówi.

- Śni o tobie. Widziałam jej sny.

Carrie patrzy na nią skołowana.

Janie siedzi z kamienną twarzą.

I nagle Carrie wybucha śmiechem.

- Jasna cholera, Janers. Wróciło ci poczucie humoru.

Janie śmieje się razem z nią.

- Mam cię - mówi drżącym głosem.

Carrie ostrożnie próbuje swojej fajity.

- Hej, mała, to jest nawet dobre.

Janie przewraca oczami. Teraz już Carrie zaczęła nazywać ją tak samo jak Stu.

- Do rzeczy - ponagla.

- Hm?

- Cabel?

- Ach. Tak. No więc, odkąd go rzuciłaś, wziął się na całego za bogate cizie. Owinął sobie Shay wokół małego palca.

- Chociaż rzekomo zgarnęli go na jej imprezie?

Carrie chichocze.

- A jak myślisz, z kim on pracuje? Z jej starym! Mają małą „umowę”. Shay mi powiedziała. Boki zrywać. To się nazywa rodzinny interes. I nie mówimy tu tylko o gandzi.

Janie wpycha jedzenie do ust.

Carrie mówi dalej:

- Shay powiedziała Melindzie, że z nim spała. - Zatyka usta ręką. - O, Boziu. Ja tego nie powiedziałam.

Janie jest odrętwiąta. A jednocześnie prosi się o więcej. Chce go znienawidzić.

- Nie, no, spoko - kłamie gładko. - Już mi zupełnie przeszedł. To zwykły ściemniacz. Dobrze mówię? - podpuszcza Carrie, żeby mówiła dalej.

- Fakt, ściemniać to on potrafi - piszczy Carrie, omal nie przewracając butelki z wódką. Napelnia szklankę Janie. - Teraz wiadomo, skąd ma te wszystkie nowe ciuchy i dla-czego wreszcie kupił sobie komórkę. Rany. Trzepie niezłą kaskę. Myślę, że to crack. Ale to tylko moje przypuszczenia.

Janie nie może w to uwierzyć.

Powiedział, że nie pije. Nie ćpa.

I myślała, że nie znosi Shay Wilder.

Co za kłamca.

- Cóż, pewnie wszyscy dilerzy kłamią jak z nut - stwierdza Janie.

Carrie kiwa głową, nabuzowana alkoholem.

- No, to niezli spryciarze. Normalnie nie mogłam w to uwierzyć, kiedy się dowiedziałam, co Cabel robi. Ale wiedziałam, że ostro przypała, już trzy lata temu, kiedy spadł do naszej klasy Pewnie od tego się zaczyna.

- On naprawdę wtedy przypałał?

- Kupowałam od niego trawę - szepcze Carrie.

- Naprawdę?

Carrie znów kiwa głową.

- I to mnóstwo.



Janie zrywa się i zanoszą naczynia do zlewu. Zaczyna je myć, gdy tymczasem te wszystkie informacje bombardują jej mózg. Poszedł do łóżka z Shay? Całe ciało aż swędzi ją z obrzydzenia.

Kiedy Janie wraca do salonu, Carrie szklistymi oczami gapi się w telewizor.

Janie siada obok niej.

- Więc skoro Cabel leci na Shay, to dlaczego przesiedział cały dzień na moich schodach i dlaczego ciągle próbuje ze mną porozmawiać?

Carrie patrzy na Janie.

- Może nie chce cię stracić jako przyszłej klientki. Albo będzie chciał cię bzyknąć. Spójrz prawdzie w oczy, mała, wyglądasz ostatnio całkiem seksownie.

Janie czuje mdłości.

Wychodzi do łazienki.

Kiedy wraca, Carrie śpi.

Janie wyłącza telewizor. Sprząta bałagan i idzie napić się wody.

23 października 2Q05, godzina 1.34

Zostawia Carrie na kanapie i biegnie przez ogródki, by schować się w kępie drzew niedaleko domu Cabela. W środku pali się światło, więc czeka. Po chwili na podjeździe parkuje samochód. Stoi tam przez jakieś pięć minut, może dłużej. W końcu Cabel wysiada i wchodzi do domu. Kiedy Janie stwierdza, że wszystkie światła pogasły, zakrada się w krzaki pod jego oknem, ostrożnie stąpając po suchych liściach, które przez ostatnich kilka dni uparły się spadać z drzew.

Szczyście jej dopisuje - Cabel uchyla okno. Słyszy go teraz i serce jej pęka, gdy tak słucha, jak on wzdycha i szeleści czymś po ciemku. Słyszy skrzypnięcie jego łóżka, kiedy się kładzie; słyszy, jak roztrzępuje poduszkę, układając się do snu.

Jest ciekawa, w czym sypia. Strasznie ją kusi, żeby zajrzeć.

Ale będzie czekała.

Musi czekać.

Czeka.

Godzina 2.15

Cabel nie chrapie.

### Godzina 3.04

Janie budzi się gwałtownie w krzakach. Boleśnie. Jej ciało niemal natychmiast ogarnia paraliż i zostaje wessana w umysł Cabela. W jego lęki. Jego sen.

Który trwa dwie godziny.

Te same sceny, zapętlone w nieskończoność.

Mężczyzna w średnim wieku psikający benzyną do zapalniczek, a potem rzucający w Cabela papierosem. Człowiekopotwór w kuchni, ciskający krzesłem z nożami, rozwalający wentylator pod sufitem i ucinający głowę starszemu mężczyźnie. I nowa scenka. Shay, bogata cheerleaderka, przykuta kajdankami do łóżka. Uśmiechnięta.

W oczach Janie wygląda przerażająco.

Naga.

Gdy Cabel kładzie się obok niej.

A Janie nie może się wydostać.

Czuje, jak robi jej się niedobrze, ale nie może się ruszyć.

Nie może załomotać w okno, żeby go obudzić.

Jest jak skamieniała. Sparaliżowana.

A myślała, że szkoła to tortura.

To zdecydowanie najgorszy sen, w jakim kiedykolwiek utknęła. O niebo gorszy niż wszystkie inne. Janie mdleje. Wykończona. Wyssana. Tuż przed tym, zanim scena się zmienia. I kończy.

### Godzina 6.31

Janie otwiera oczy. Na brzuchu, twarzą do ziemi, na kamieniach i gałęziach.

Ledwo może się ruszyć.

Ale musi.

Słońce wstaje.

### Godzina 7.11

Janie kuśtyka do domu. Ignoruje szczekające psy.

Godzina 7.34

Janie na czworaka wchodzi do domu, zamyka drzwi i pada na dywan obok Carrie, która wciąż leży na kanapie. Zasypia.

Godzina 8.03

O Boże. Jest w lesie. Znowu, znowu, znowu. Taka zmęczona.

Kiedy dostrzegają chłopca unoszącego się na wodzie, obok Carrie pojawia się Stu.

Uśmiech chłopca.

Szamotanina.

Błaganie. Pomóż mu.

A Janie nie może mu pomóc.

Nigdy nie może mu pomóc.

Stu wyciąga ręce nad wodę, ale on też nie może pomóc. Potem kocha się z Carrie, która wciąż woła tego chłopca, Carsona.

Chłopiec znika znowu w krwawej wodzie, porwany przez rekina.

Jak zawsze.

Janie płacze. Nad Carsonem, nad Carrie. Ale przede wszystkim nad sobą. Czuje się, jakby miała ze sto lat.

Godzina 9.16

Carrie szturcha Janie.

- Muszę lecieć - mówi.

Janie burczy potakująco. Boli ją całe ciało.

Carrie cicho zamyka drzwi, a Janie śpi dalej.

Dywan drapie ją w twarz.

Godzina 11.03

Rozlega się ciche pukanie i odgłos otwieranych drzwi. Janie wydaje się, że śni.

Cabel sprawdza, czy Janie leżąca na podłodze żyje. Potem siada na kanapie i czeka.

Mama Janie przechodzi obok nich.

I znów przechodzi, w przeciwną stronę, niosąc tackę owiniętą folią aluminiową, i butelkę.

Godzina 12.20

Janie przekręca się na bok.

Jęczy.

Zwija się w kłębek, ściskając brzuch.

- O, Boże - jęczy z zamkniętymi oczami. Boli ją głowa. Mięśnie wrzeszczą z bólu za każdym razem, gdy się porusza. Jest słaba i pusta w środku. Półprzytomna. Wykończona.

A on jest przy niej. Podnosi ją. Niesie ją do łóżka. Przykrywa kocami.

Zamyka drzwi.

Siada na podłodze obok niej.

Godzina 12.54

Cabel idzie do kuchni. Robi jej kanapkę z kurczakiem. Nalewa mleka. Nalewa soku pomarańczowego. Niesie do jej pokoju.

Czeka.

Godzina 13.02

W końcu, przestraszony, że Janie tak długo śpi, budzi ją.

Janie jęczy i siada powoli.

Wypija sok i mleko.

Zjada kanapkę.

Nie patrzy na Cabela.

Nie odzywa się do niego.

Godzina 13.27

- Dlaczego ciągle tu przyłazisz - mówi w końcu głucho. Jej głos jest zachrypnięty

Cabel waży słowa.

- Bo mi na tobie zależy.

Janie śmieje się ponuro.

- Jasne.

On patrzy na nią bezradnie.

- Janie, ja...

Spogląda na niego ze złością.

- Co ty? Dilujesz prochami? Obracasz Shay Wilder? Powiedz mi coś, czego nie wiem.

Cabel obejmuje głowę rękami i jęczy.

- Nie wierz we wszystko, co słyszysz.

Janie prycha.

- Zaprzeczasz?

- Nie obracam Shay Wilder. -Wstrząsa nim dreszcz.

- Och, doprawdy? Więc tylko w snach. - Janie odwraca się do ściany.

Cabel gapi się na tył jej głowy.

Przez boleśnie długą chwilę.

- Nie zrobiłaś tego - mówi w końcu.

Janie nie odpowiada.

Cabel wstaje.

- Jezu, Janie - wyrzuca z siebie.

Stoi tak, oskarżycielsko.

- Może powinienes już iść-mówi Janie.

Cabel idzie do drzwi, otwiera je i odwraca się, by na nią spojrzeć.

- Sny to nie wspomnienia, Janie. To nadzieje i lęki. Oznaki stresów przeżywanych w życiu. Myślałem, że ty, właśnie ty, będziesz wiedziała, na czym polega różnica. -Wychodzi.

21 listopada 2005

Janie i Cabel nie rozmawiają ze sobą.

Janie mechanicznie wypełnia obowiązki w szkole i w pracy. Nigdy w życiu nie czuła się tak pusta. Jedyne człowiek, który wie o snach, jedyny człowiek, na którym zaczęło jej zależeć, jest teraz jej najgorszym wrogiem - a przynajmniej ona tak to czuje. Janie często rozmyśla teraz, że pewnie zostanie starą panną, jak pani Stubin. Przygotowuje się na bardzo samotne życie.

Będzie pracowała w domu opieki.

Dojeżdżała do college'u.

Mieszkała z matką.

Już zawsze.

W miarę jak robi się chłodniej i dni stają się coraz krótsze, coraz więcej uczniów przysypia w szkole.

Przed Świętem - Dziękczynienia, podczas wyjątkowo ciężkiej godziny w czytelni, po zbyt lekkim lunchu, zasypia pewna kujonka, Stacey O'Grady - co zdarza jej się naprawdę rzadko. Przez prawie całą godzinę lekcyjną pędzi samochodem, nad którym nie ma kontroli, z gwałcicielem na tylnym siedzeniu. Po piętnastu minutach tego snu Janie jest już całkowicie sparaliżowana.

Na szczęście Carrie akurat nie ma i nie widzi, jak Carrie spada z krzesła i trzęsie się na podłodze w kącie czytelni.

Na szczęście zauważa to Cabel.

Podnosi ją, sadza na krześle.

Rozciera jej palce, aż zaczynają się ruszać.

Wyciąga z plecaka snickersa, kładzie go koło jej dłoni i idzie na lekcję wychowania obywatelskiego.

Odwraca uwagę nauczyciela, kiedy Janie przychodzi spóźniona.

Nie patrzy na nią.

Janie przełyka swoją dumę razem z batonikiem. Drżącą ręką pisze coś w zeszycie. Wydziera kartkę.

Zgniata w kulkę.

Rzuca nią w tył jego głowy.

Cabel podnosi ją i rozwija. Czyta.

Uśmiecha się i chowa do plecaka.

Po szkole Janie znajduje za wycieraczką Ethel wycinek z gazety - ogłoszenia drobne. Rozgląda się podejrzliwie, zastanawiając się, czy to nie jakiś dowcip. Nie widząc nikogo, wyciąga kartkę zza wycieraczki i wsiada do samochodu. Ogląda pobieżnie wycinek, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. I znajduje to. Zaznaczone żółtym markerem.

„Masz problemy z zaśnięciem? Nocne koszmary? Zaburzenia snu? Odpowiemy na twoje pytania. Rozwiążemy twoje problemy”.

To nabór ochotników do badań nad snem. Sponsorowanych przez Uniwersytet Michigan. Dla dobra nauki.

I wszystko za darmo.

Po przyjeździe do domu Janie natychmiast tam dzwoni i zapisuje się na weekend po Święcie Dziękczynienia. Ma się zgłosić do Kliniki Snu w północnym Fieldridge, niedaleko szkoły.

25 listopada 2005

Dzień po Święcie Dziękczynienia. Janie pracowała wczoraj i dziś za podwójną stawkę. Na jutro wzięła wolne, przewidując problemy w trakcie badań, w których ma brać udział dziś w nocy. Zastanawia się, czy to będzie powtórka z jazdy autobusem do Stratfordu. Zastanawia się, czy nie wyjdzie z tego wszystkiego jeszcze jeden totalny kanał.

Godzina 22.59

Janie bierze torbę z rzeczami z tylnego siedzenia samochodu i wchodzi do Kliniki Snu. Zdejmuje kurtkę i w recepcji rejestruje się pod fałszywym nazwiskiem. Przez przyciemnianą szybę widzi rząd łóżek obstawionych jakimiś urządzeniami. Na niektórych łóżkach leżą już ludzie.

To bardzo, bardzo zły pomysł, myśli.

Drzwi do sali z łóżkami otwierają się i staje w nich kobieta w białym fartuchu, przeglądając czyjąś kartę. Janie się potyka. Zakrywa twarz dłońmi. Krzywi się. Na oślep szuka krzesła, nim ciało odmówi jej posłuszeństwa.

Godzina 23.01

Jest na ruchliwej ulicy dużego miasta. Pada deszcz. Janie stoi pod markizą, nie bardzo wiedząc, kogo tu szuka.

Jeszcze. Nie czuje się zmuszona, by ruszyć za którymś przechodniem. Po chwili zaczyna ją ścisnąć w żołądku. Wzdycha, przewraca oczami i patrzy w górę.

Otóż i on, myśli.

Spada z nieba, przebijając markizę.

To pan Abernethy, dyrektor jej liceum.

Godzina 23.02

Jej oczy wracają do życia. Kobieta w fartuchu weszła do poczekalni i gapi się na nią.

Janie gapi się na kobietę, tak tylko, żeby ją wystraszyć. Rozgląda się po pomieszczeniu, po innych, którzy siedzą tu, czekając, aż ich nazwiska zostaną wywołane. Wszyscy wbijają wzrok w podłogę, gdy jej spojrzenie przemyka od jednej osoby do drugiej. Wie, co sobie myślą. Za żadne skarby nie chcą być w tym pomieszczeniu razem z nią, z takim świrem.

Janie zaciska zęby.

Ma już dość płaczu.

Nie zamierza urządzać więcej scen.

Kiedy wraca jej czucie w palcach i stopach, wstaje, bierze kurtkę i torbę i wypada za drzwi.

Jej głos jest ochrypliwy, kiedy zwraca się do recepcjonistki.

- Przepraszam. Nie piszę się na to. - Wychodzi na parking. Powietrze jest rześkie, Janie oddycha głęboko.

Kobieta w kitlu wybiega za nią.

- Proszę pani?

Janie idzie dalej. Wrzuca torbę do samochodu.

Krzyczy przez ramię:

- Powiedziałam, że rezygnuję.

Siada za kierownicą. Zostawia kobietę w fartuchu na parkingu i odjeżdża.

- Musi być jakiś inny sposób, Ethel - mówi. - Rozumiesz mnie, prawda, skarbie? Ethel mruczy smętnie.

Godzina 23.23

Janie zajeżdża pod swój dom po incydencie w poczekalni Kliniki Snu. Zastanawia się, czy powinna była jednak spróbować. Ale za żadne skarby nie chce wiedzieć, o czym śni jej dyrektor, pan Abernethy.

Fuj.

Fuj, fuj, fuj.

To nie jest właściwy sposób, żeby sobie z tym poradzić, uznaje. Ale jaki jest właściwy



sposób? Bo już najwyższa pora.

Pora przestać płakać, pora wziąć się w garść i coś zrobić. Pora skończyć z uzalaniem się nad sobą.

Zanim zeświruje.

Bo nie ma mowy, żeby przebrnęła przez college - chyba że udowodni, że ma jajniki, i zawróci ten pociąg pędzący ku katastrofie.

Wchodzi do domu i przekopuje papiery na swojej nocnej szafce. Znajduje go - list od pani Stubin. Czyta go na nowo.

„Droga Janie,

Dziękuję za sny.

Od jednej podglądaczki dla drugiej -

Martha Stubin.

PS. Masz większą moc, niż sądzisz”.

Godzina 23.36

Co to znaczy?

Godzina 23.39

Wciąż nie wie.

Godzina 23.58

Nic z tego.

26 listopada 2005, godzina 9.59

Janie czeka pod drzwiami biblioteki miejskiej. Kiedy otwierają, krąży po dziale literatury popularnonaukowej. Samopomoc. Sny.

Zdejmuje z regału wszystkie sześć pozycji, znajduje sobie stolik z tyłu, w kącie, i czyta.

Gdy do biblioteki wchodzi grupka uczniów z zaspanymi minami i usadawia się przy pobliskim stoliku, Janie przenosi się do innej części czytelni.

I czeka cierpliwie, aż zwolni się komputer w kącie. Spędza przy nim godzinę. Nie do wiary, co można znaleźć w Internecie.

Oczywiście nie ma informacji o ludziach takich jak ona. Ale zawsze to jakiś początek.

Godzina 17.01

Z czterema z owych sześciu książek Janie jedzie do domu. Jest zafascynowana. Gotuje kolację z książką w ręku. Czyta do północy. A potem robi głęboki wdech i mówi do siebie, przygotowując się do snu.

- Mam problem - mówi cicho, starając się nie czuć jak idiotka. - Mam problem i muszę go rozwiązać. Chciałabym mieć sen o tym, jak rozwiązać ten problem.

Koncentruje się. Kładzie się do łóżka, zamyka oczy i mówi dalej spokojnym głosem:

- Chciałabym mieć sen o tym, co mogę zrobić, żeby zablokować sny innych ludzi. Chcę... - zaczyna się. - To znaczy, chciałabym pomagać ludziom i... chciałabym też... normalnie egzystować. Żeby ich sny nie spieprzyły mi całego życia.

Oddycha głęboko. Przestaje mówić i skupia myśli na swoim problemie. Ale przypomina sobie jeszcze jedno:

- I chciałabym pamiętać ten sen, kiedy się obudzę - dodaje.

Powtarza te słowa w myślach raz po raz. Spogląda na zegarek i beszta sama siebie, że zakłóciła w ten sposób te czary-mary.

Godzina 0.33

Znów się koncentruje. Oddycha głęboko. Pozwala myślom ulatywać swobodnie i splatać się ze sobą.

Czuje, jak myśli powoli wypełniają pokój. Oddycha nimi. Muskają jej skórę. Pozwala umysłowi błędzić, mięśniom się rozluźnić.

Pozwala, by nadszedł sen.

Z początku nic się nie dzieje.

Co jest nawet całkiem przyjemne.

Wyraźne obrazy przychodzą później.

Godzina 2.45

Janie znajduje się nagle na środku ciemnego jeziora. Pływa w miejscu przez całe godziny, jak jej się zdaje. Czuje się zmęczona. Panikuje. Widzi na brzegu

Cabela z liną. Macha do niego gorączkowo, ale on jej nie zauważa. Nie może dłużej utrzymać się na powierzchni. Woda wypełnia jej usta i uszy.

Zanurza się.

Pod wodą jest wielu ludzi - mężczyzn, kobiet, dzieci, nawet niemowlaków. Janie patrzy na nich spanikowana, czując, że pękają jej płuca. A oni gapią się na nią wybałuszonymi martwymi oczami.

Janie rozgląda się gorączkowo. Ciśnienie w płucach jest nie do zniesienia. Wszystko blaknie, czernieje. Janie czuje, że oczy wychodzą jej na wierzch, i słyszy przerażający, niesłyszalny śmiech ciał unoszących się wokół niej.

Janie zachłystuje się powietrzem i siada. Jest 3.10.

Oddycha głęboko. Zapisuje sen w notesie.

Próbuje nie czuć się fatalnie z powodu porażki. To zupełnie normalne.

Jeszcze nie jest po wszystkim, mówi sobie, kładąc się z powrotem.

Wyśnię to jeszcze raz, myśli spokojnie. I tym razem nie utonę. Będę oddychała pod wodą, bo to mój sen, i mogę z nim zrobić, co chcę. Będę pływała jak ryba. Bo przecież umiem pływać. I... mam skrzela. Tak, to jest to. Mam skrzela.

Powtarza to sobie, układając się do snu.

Godzina 3.47

Nie ma skrzeli.

Przekręca się na brzuch i sfrustrowana, jęczy w poduszkę. Powtarza swoją mantrę.

Godzina 4.55

Znowu się zaczyna.

Gdy Janie zsuwa się pod wodę, wykończona, z palącymi płucami, rozgląda się, patrząc na innych, którzy unoszą się pod powierzchnią.

Zaczyna panikować.

Te wytrzeszczone oczy.

I wtedy.

Pani Stubin pod wodą puszcza do niej oko. Uśmiecha się, dodając jej otuchy.

Nie jest jedną z tych nieżywych osób.

Obok pani Stubin pływa druga Janie, która kiwa głową i uśmiecha się.

- To twój sen - mówi.

Tonąca Janie spogląda to na panią Stubin, to na tę drugą Janie. Wzrok jej się mąci. Zaczyna panikować.

- Skup się - uspokaja ją druga Janie. - Zmień to.

Tonąca Janie zamyka oczy. Zanurza się głębiej. Tracąc przytomność, wierzga nogami, walczy, by wrócić na powierzchnię.

- Skup się! - powtarza druga Janie. - Zrób to! Na szyi tonącej Janie wyrastają skrzela.

Otwiera oczy.

Oddycha. Długie uspokajające oddechy pod wodą. To łaskocze. Śmieje się, puszczając bąbelki. Nie do wiary.

Spogląda w górę. Pani Stubin i druga Janie się uśmiechają. Klaszczą w wodzie, w zwolnionym tempie, bezdźwięcznie. Podpływają do niej.

Janie uśmiecha się szeroko.

- Udało mi się. - Z jej ust wyskakują bańki, a słowa, każde z osobna, pojawiają się nad jej głową, gdy bańki pękają, jak w kreskówce.

- Udało ci się - powtarza druga Janie, kiwając głową. Jej włosy unoszą się w wodzie jak jedwab.

- No, to płyniemy - mówi pani Stubin. - Ktoś czeka na ciebie na brzegu.

Druga Janie i pani Stubin przepływają z nią połowę drogi, po czym zatrzymują się i gestami zachęcają, by płynęła dalej.

Janie zbliża się do brzegu, a kiedy wynurza się na powierzchnię i może już stanąć, skrzela znikają. Wychodzi z wody w ociekających bokserkach i koszulce.

Na brzegu stoi Cabel. On też jest w bokserkach. Jego mięśnie napinają się w blasku słońca. Jego ciało jest opalone. Błyszczące.

Wygląda na to, że są na jakiejś bezludnej tropikalnej wyspie.

On nie rusza się z miejsca.

Nie trzyma już liny.

Siedzi na piasku.

Janie czeka na jakiś jego ruch, ale chłopak nic nie robi.

- Pamiętaj, to twój sen - słyszy. To mówi ta druga Janie, ta, która zdaje sobie sprawę, że śni.

Janie waha się i w końcu podchodzi do Cabela.

- Hej, Cabel. On patrzy na nią.

- Zależy mi na tobie - mówi. Jego brązowe oczy nabierają głębi.

Janie chce mu wierzyć. I wierzy.

- A co z Shay? - pyta.

- Sny to nie wspomnienia - mówi Cabel. - Proszę, porozmawiaj ze mną.

Godzina 6.29

Janie uśmiecha się przez sen. Czuwa nad samą sobą we śnie i nurkuje weń z powrotem, rozwija go w różnych kierunkach, zaczyna od nowa w różnych miejscach, by był miły, seksowny, piękny albo śmieszny.

27 listopada 2005, godzina 8.05

Dzwoni budzik. Janie, nie otwierając oczu, sięga, by go wyłączyć. Leży w łóżku, przypominając sobie sen w najdrobniejszych szczegółach. Uczy się go na pamięć.

Kiedy wszystko jest już utrwalone w jej myślach, siada i zapisuje to w dzienniku.

Nie może przestać się uśmiechać.

To mały kroczek. Ale daje nadzieję.

Przez cały dzień studiuje książki, aż do wyjazdu do pracy.

Godzina 21.58

W domu opieki panuje spokój. Rezydenci leżą w łóżkach za pozamykanymi drzwiami. Janie wypełnia karty w recepcji. Jest sama.

Tablica wezwań jest ciemna, aż nagle zaczyna na niej migać białe światełko oznaczające pokój, który zajmowała kiedyś pani Stubin. Mieszka w nim teraz nowy lokator. Nazywa się Johnny McVicker.

Janie odkłada długopis i idzie do pokoju, by sprawdzić, czego potrzebuje nowy podopieczny.

Ale pan McVicker śpi.

Śni.

Janie przytrzymuje się ściany, tracąc wzrok.

Godzina 21.59

Są w piwnicy jakiegoś domu. Jest oświetlona, choć niezbyt jasna, i nie jest w niej bardzo zimno. Janie widzi szare liście zmiotane przez wiatr pod okienko wentylacyjne. Po chwili zdaje sobie sprawę, że wszystko jest czarno-białe.

Pan McVicker jest o dwadzieścia lat młodszy. Stoi u stóp schodów z jakimś młodym mężczyzną, którego nazywa Edward.

Obaj krzyczą.

Okropne rzeczy.

Pan McVicker robi przerażoną minę, a Edward pędzi w górę po schodach i wypada z domu, trzaskając drzwiami.

Starszy pan próbuje biec za nim, ale porusza się w zwolnionym tempie. Próbuje mówić, ale z jego ust nie wydobywa się ani jedno słowo. Jego ciężkie stopy grzęzną w podłodze jak w bagnie, zapadają się w schody.

Patrzy błagalnie na Janie - jego twarz jest pomarszczona i boleśnie wykrzywiona, mokra od łez. I nagle spogląda gdzieś za Janie.

Janie się odwraca.

Z tyłu stoi pani Stubin i obserwuje. Czeka. Na coś. Uśmiecha się zachęcająco do pana McVickera.

Na jego twarzy maluje się ból.

Z jego oczu płyną łzy.

Zapada się coraz głębiej w schody i teraz już w ogóle nie może ruszyć się z miejsca.

Pani Stubin stoi cierpliwie i patrzy na niego ze współczuciem. Zamyka oczy i marszczy brwi. Jest zupełnie nieruchoma.

- Pomóż mi! - krzyczy w końcu pan McVicker, jakby głos siłą został wypchnięty z jego płuc.

Pani Stubin sunie ku niemu.

Wyciąga rękę.

Pomaga mu wydostać się ze schodów, które same się naprawiają jak za sprawą czarów. Ale zamiast poprowadzić go na górę, ona prowadzi go z powrotem do punktu wyjścia, do początku snu.

Pani Stubin spogląda na Janie i kiwa głową, po czym odwraca się do starszego pana i mówi mu coś, czego Janie nie słyszy.

Stoją tak przez kilka chwil. Janie czeka, co się stanie. I nagle sen zaczyna się na nowo.

Pan McVicker i Edward krzyczą.

Okropne rzeczy.

Pan McVicker robi przerażoną minę, a Edward odwraca się ku schodom.

Pani Stubin znów mówi coś panu McVickerowi. Sen zmienia bieg.

Pan McVicker łapie Edwarda za rękaw.

- Nie odchodź - mówi. - Proszę. Muszę ci coś powiedzieć.

Edward odwraca się do niego powoli.

- Synu - mówi starszy pan. - Masz rację. Ja się mylę. I ogromnie cię przepraszam.

Wargi Edwarda drżą.

Otwiera ramiona.

Pan McVicker bierze młodzieńca w objęcia.

- Kocham cię - mówi.

Pani Stubin po raz trzeci szepcze coś panu McVickersowi, a on kiwa głową i się uśmiecha. Obejmuje syna i we dwóch wchodzi po schodach na górę.

Pani Stubin uśmiecha się do Janie i powoli znika. Janie przez chwilę stoi w piwnicy. Jest zaskoczona, że nie czuje przymusu, by iść za starszym panem. Rozgląda się i widzi jaskrawozieloną trawę i petunie rosnące za okienkiem, i że ściany piwnicy mają teraz miękki, żółty kolor.

Dziwne.

Janie zamyka oczy, koncentruje się i z łatwością wydostaje się ze snu.

Wciąż stoi. Mruga, gdy jej oczom znów ukazuje się ciemny pokój pana McVickera. Jej palce ledwie mrowią.

Dziwne.

Ale miło było zobaczyć panią Stubin. To na pewno.

Odwraca się, by wyjść. Kątem oka zauważa guzik alarmowy pana McVickera.

Leży na podłodze.

Poza jego zasięgiem.

Janie się waha; w końcu podnosi guzik i wpina go w uchwyt na ścianie. Wyłącza

mrugające światełko.

Szybko rozgląda się po pokoju, czując, że włosy stają jej dęba.

Zamyka za sobą drzwi.

Kręci głową, zadziwiona.

W recepcji siedzi Carol, pielęgniarzka oddziałowa.

- Dokończyłam twoje karty, kotku - mówi. - Gdzie ty przepadłaś?

Janie wskazuje korytarz.

- Mrugała lampka pana McVickera. Ale już wszystko załatwione. Właśnie ją wyłączyłam. - Jej głos brzmi czysto i spokojnie, co ją zaskakuje.

Carol spogląda na nią zdziwiona.

- Jego lampka nie mrugała, Janie - Podchodzi do tablicy wezwań, podnosi ją i potrząsa. - Hm - mówi. - Może się przepaliła.

- Dziwne-mówi Janie lekko.

Odkłada karty na miejsce, bierze kurtkę i podbija kartę w zegarze. Na pieczęcie jest 23.09.

- No dobra, muszę lecieć. Jutro szkoła. Jedzie do domu, a jej serce śpiewa z radości.

29 listopada 2005, godzina 12.-45

Janie chce wiedzieć jak najwięcej o snach, to już niemal obsesja. Zaklina w duchu kolegów, żeby zasypiali na lekcjach. A w czytelni, jak zawsze, jest ciekawie.

Janie trenuje na każdym, kto się trafi.

W większości przypadków ponosi porażkę.

Wciąż jeszcze nie rozpracowała wszystkiego.

Ale robi to.

Na Boga, robi to.

Bo teraz ma do pomocy swoją przyjaciółkę, panią Stubin. Musi się powstrzymać, by nie biegać w podskokach po korytarzach.

5 grudnia 2005, godzina 7.35

Kiedy Janie podjeżdża pod szkołę, Cabel parkuje swój nowy samochód obok niej.

Samochód nie jest naprawdę nowy. Po prostu nowy jest dla Cabela, który nie miał wcześniej samochodu.

Ale jednak to beemka.



Ludzie z południowej strony Fieldridge nie jeżdżą beemkami. No, może takimi z rocznika 1976. Z pewnością nie 2000. Janie otwiera usta, po czym zamyka je i zaciska wargi. Kręci głową i idzie w stronę budynku.

Cabel tuż za nią.

- Janie, to sześćioletnie auto. Daj spokój.

Janie, z uniesionymi brwiami, idzie do drzwi szkoły. Cabel próbuje dotrzymać jej kroku.

Zostaje w tyle, kiedy wywraca się na oblodzonym chodniku.

Janie znajduje Carrie przed drzwiami sali angielskiego.

- Skąd on wytrzasnął tę wypasioną brykę? - pyta Janie.

- Nie wiem, *chica*. Widocznie trzepie niezłą kasiorę. Nie do wiary, że jeszcze go nie wywalili ze szkoły.

- A wtedy naprawdę go aresztowali?

- Nie. Tatusz Shay załatwił sprawę z glinami. W ten weekend Cabel był z nią na wszystkich imprezach.

- A teraz jeździ tym czymś.

- Kobieto, to jest 323 Ci kabriolet. Stu mówi, że takie beemki chodzą za minimum siedemnaście kawałków, i to używane.

Janie czuje, że gotuje się w niej krew.

- To jest po prostu... po prostu... - Wzbiera w niej złość i nie może znaleźć słowa. Carrie zerka na nią z ukosa.

- Wpalesięniemieszczące? - dobiega głos zza pleców Janie.

Janie łapie gwałtownie powietrze. Widzi, jak oczy Carrie otwierają się szeroko.

- Cholera. - Odwraca się i widzi Cabela.

- Panie wybaczą - mówi Cabel grzecznie i przeciska się między nimi do klasy. Janie czuje zapach jego wody po goleniu. Czuje motylki w żołądku, chociaż wcale tego nie chce.

Carrie błyszczy oczy. Chichocze.

- Ups.

Janie przewraca oczami i śmieje się niechętnie.

- No tak...

Godzina 12.45

W czasie nauki własnej Janie od wielu dni zwiedza cudze sny, ale gdy próbuje pomóc śniącym zmieniać ich bieg, nie odnosi zbyt wielkich sukcesów. Wciąż nie rozumie jednej rzeczy.

No, może dwóch.

Po pierwsze, jak pani Stubin skłoniła pana McVickera, żeby poprosił ją o pomoc? A po drugie, co takiego mu powiedziała, że udało mu się zmienić scenariusz snu?

*Sorry*, trzech. Trzech rzeczy.

Jakim cudem, u diabła, pani Stubin widzi w snach, skoro była ślepa? I jakim cudem w ogóle w nich jest, skoro nie żyje? Dobrze, to cztery rzeczy. A właściwie jest ich nawet więcej.

To takie wkurzające.

Janie wie, że musi się bardziej starać.

I chudnie. Bardzo szybko,

Już przedtem była dość chuda.

Teraz jej policzki są zapadnięte, jak u jej mamy. I ma sińce pod oczami, bo co chwilę budzi się w nocy, by pracować nad własnymi snami.

I znajduje snickersy w najdziwniejszych miejscach.

(Wie, że są od niego.)

(Zastanawia się, czy są zaprawione trawką.)

Od kilku tygodni Cabel znów siaduje na swoim zwykłym miejscu. Ale nie śpi.

Czyta.

Janie może by nawet chciała, żeby zasnął. Ale boi się też, co mogłaby zobaczyć.

Zbliżają się egzaminy. Janie otwiera podręcznik do matmy i uczy się. Od czasu do czasu zerka na Cabela, który siedzi plecami do niej. Jeśli wierzyć Carrie, znów cały weekend imprezował po Północnej Stronie. Z Shay. I mnóstwem narkotyków. Janie wzdycha. Z trudem odpędza smutek, który tylko czeka na chwilę nieuwagi, i skupia się na książce do matmy. Nie chce o tym myśleć.

Godzina 13.01

Głowa Cabela kiwa się i podrywa gwałtownie do góry. Cabel potrząsa nią i zerka przez ramię

na Janie. Janie spuszcza wzrok. Cabel rozwała się na krześle i opiera podbródek na dłoni. Włosy opadają mu miękko na ramiona i oczy. Gdy odwraca kartkę w książce, Janie niechętnie podziwia jego profil.

Jego głowa opada.

Książka wyślizguje się z ręki.

Cabel nie budzi się, kiedy książka uderza o stół.

Janie czuje jego energię.

Koncentruje się i powoli wślizguje w jego sen. Kolejny ważny krok - uczy się kontrolować prędkość swoich wejść i wyjść. To o wiele łatwiejsze niż...

Godzina 13.03

Cabel siedzi w ciemnej celi aresztu. Sam. Nad jego głową wisi tabliczka z napisem „Diler”.

Janie obserwuje go spoza celi. A on siedzi ze spuszczoną głową.

Sceneria nagle się zmienia.

Cabel jest w pokoju Janie. Siedzi na podłodze i pisze coś w notesie. Spogląda na nią, przyzywając ją wzrokiem. Janie robi kilka kroków w jego stronę.

On podnosi notes.

„To nie jest tak, jak myślisz”.

To właśnie napisał.

Cabel wydiera kartkę. Pod spodem jest kolejna, na której napisał kolejne zdanie: „Chyba się w tobie zakochałem”.

Janie czuje ściskanie w żołądku.

Cabel długą chwilę patrzy na notes. W końcu spogląda na Janie i wydiera kolejną kartkę. Kiedy Janie czyta, on obserwuje jej twarz.

Jak ci się podoba moja nowa sztuczka?

Uśmiecha się do niej szeroko i znika.

Sceneria znów się zmienia. Znów są w celi w areszcie, Tabliczka nad głową Cabela zniknęła.

Jest sam. Janie obserwuje go z zewnątrz. On ma opuszczoną głowę. Nagle spogląda na nią.

Przed jej oczami, w powietrzu, pojawiają się klucze.

- Wypuść mnie - prosi Cabel. - Pomóż mi.

Przestraszona i zdziwiona Janie porusza się jak automat. Otwiera zamek celi. Cabel podchodzi do niej i bierze ją w ramiona. Spogląda jej w oczy. Wsuwa palce w jej włosy i całuje ją.

Janie, całując Cabela, wychodzi z ciała. Oddała się ciemnym korytarzem i z łatwością wraca do świadomej egzystencji, do biblioteki.

Mruga.

Siada prosto.

Patrzy na Cabela.

On wciąż śpi.

Janie przeciera oczy i zastanawia się:

Jak on to zrobił, do diabła?

No i.

Co teraz?

Godzina 13.30

Cabel wślizguje się na krzesło po drugiej stronie stolika Janie. Jego oczy jeszcze zaspane, błyszczą psotnie.

- I co?

- Co, co? - pyta Janie.

- Udało się, prawda?

Janie powstrzymuje uśmiech. Z marnym skutkiem.

- Kurczę, jak to zrobiłeś?

Jego twarz poważnieje.

- Chciałem cię zmusić, żebyś ze mną porozmawiała, i tylko taki sposób przyszedł mi

do głowy.

- Dobrze, to rozumiem. Ale jak to zrobiłeś?

Cabel się waha. Spogląda na zegarek. Wzrusza w końcu ramionami.

- Chyba nie bardzo mam teraz czas, żeby ci to wyjaśnić - mówi. - Kiedy chciałabyś się ze mną spotkać, żebyśmy mogli o tym porozmawiać? - Jego wargi drżą, gdy z trudem powstrzymuje uśmiech.

Zapędził ją w kozi róg.

I wie o tym.

Janie śmieje się, pokonana.

- Ależ z ciebie gnojek.

- Kiedy? - nalega Cabel. - Przysięgam na wszystko, że do końca życia będę twoim domowym niewolnikiem, jeśli nie spotkam się z tobą w umówionym miejscu i czasie. - Pochyla się do przodu. - Przysięgam - powtarza. Podnosi dwa palce.

Rozlega się dzwonek. Wstają.

Janie nie odpowiada.

On podchodzi do niej i popycha ją lekko na ścianę. Przyciska usta do jej ust.

Smakuje miętową gumą.

Janie nie potrafi opanować łaskotania w żołądku.

Cabel odsuwa się i dotyka jej policzka i włosów.

- Kiedy? - szepcze. Nagląco. Janie mruga.

- Hm. Jak dla mnie, może być po szkole - odpowiada.

Biorą plecaki i biegną. Gdy wślizgują się do klasy, on wciska jej do ręki batonik proteinowy.

Janie siada przy swoim stoliku i patrzy na batonik. Spogląda na Cabela siedzącego w drugim końcu klasy i unosi brwi.

- Proteiny - mówi Cabel bezgłośnie. Robi gest, jakby podnosił sztangę.

Janie śmieje się głośno.

Odpakowuje batonik.

Podjada go ukradkiem, kiedy nauczyciel nie patrzy.

Nie jest tak smaczny jak snickers.

Ale ujdzie.

Na WF-ie grają w badmintona.

- Obserwuję cię - mruczy Cabel groźnie, kiedy zamieniają się stronami. - Nie waż się stąd zniknąć beze mnie.

Janie posyła mu szelmowski uśmiech.

Po lekcjach Janie wychodzi z szatni, rozgląda się i rusza na parking. Cabel stoi między ich samochodami. Na jego ociekających wodą włosach błyszczy kilka małych sopli.

- Aha! - mówi, kiedy ją widzi Jakby pokrzyżował jej plany ucieczki.

Janie przewraca oczami.

- Więc dokąd, przystojniaku?

Cabel się waha.

Porusza szczęką.

- Do mnie - mówi. -Jedź pierwsza.

Janie nieruchomieje. Z nerwów burczy jej w brzuchu.

- Czy... czy on... - Przełyka z trudem ślinę.

Cabel mruży oczy w bladym słońcu. Domyśla się reszty pytania.

- Nie martw się, Janie. On nie żyje.

## DŁUGIEGO DNIA CIĄG DALSZY

Wciąż jest 5 grudnia 2005

Trzecia po południu.

Janie niepewnie parkuje na podjeździe Cabela. On staje za nią i wyskakuje z samochodu. Bierze plecak i delikatnie zamyka drzwiczki. Zamek trzaska cicho, bezbłędnie.

- Uwielbiam ten dźwięk - mówi Cabel rozmarzonym tonem. - Nieważne. Chodź.

Otwiera rozklekotane boczne drzwi do garażu. Zapala światło i bierze Janie za rękę. Garaż jest schludny, przyjemnie pachnie uschniętymi resztkami ściętej trawy i benzyną. Obok drzwi do domu wisi deskorolka Cabela. Janie uśmiecha się i dotyka jej.

- Pamiętasz to? - pyta. - To było bardzo miłe z twojej strony. Nie miałam wtedy w planach pieszej wycieczki do domu.

- Jak mógłbym zapomnieć? Walnęłaś mnie klamką drzwi do sali gimnastycznej prosto w żołądek.

- To byłeś ty?

Cabel uśmiecha się do niej pobłaźliwie.

- I owszem.

Wchodzą do środka.

Dom jest mały. Czysty. Zupełnie zwyczajny. Janie wzdryga się na widok kuchni. Widziała to pomieszczenie już wcześniej, w jego śnie. Stół. I krzesła.

- Jezu - mówi cicho. Spogląda w górę. Wentylator też jest na miejscu. - O Boże. - Odwraca się i patrzy w miejsce, gdzie powinny być drzwi, przez które wszedł tamten mężczyzna w średnim wieku. I są - jakby ją wołały. Janie rzuca plecak na podłogę, zamyka oczy i zakrywa twarz dłońmi.

A Cabel dotyka jej ramion.

Bierze ją w objęcia. Głaszcząc po włosach.

Szepcze z ustami przy jej uchu:

- Jego tu nie ma. To tylko sen. To się nigdy nie wydarzyło. Nigdy się nie stało.

Janie uspokaja się, słuchając tych słów. Wdycha jego zapach. Jej dłonie odgarniają włosy z jego twarzy i odnajdują jego ramiona. Dotyka lekko jego piersi. Zastanawia się, czy pod koszulą kryją się blizny. Zastanawia się, czy tamten drugi sen wydarzył się naprawdę. I nagle on całuje jej szyję, a ona poddaje się, odwraca głowę, by odnaleźć wargami jego usta,

głaszcząc koniuszkami palców jego policzków i całuje go mocno, ich języki tańczą jak szalone. On wtula się w nią, a ona w niego, ich ciała drżą - są jak dwójka przestraszonych, zagubionych dzieci, spragnionych, zgłodniałych dotyku, czyichś objęć, czyichkolwiek - może być pierwszy lepszy człowiek, byle wystarczająco znajomy, wystarczająco niegroźny, wystarczająco silny, by ich uratować. Oddychają ciężko. Dyszą. Ich palce szarpią ubrania.

I nagle zwalniają.

Zatrzymują się. Zamierają. Nieruchomieją.

Zanim któreś z nich, albo oboje, zaczną szlochać.

Zanim rozprysnie się kolejny kawałek rzeczywistości, który trzeba będzie posklejać.

Stoją tak przez chwilę, biorąc się w garść.

W końcu on odnajduje jej palce, splata ze swoimi i prowadzi ją do salonu.

Na stoliku leży stosik książek. Cabel patrzy na Janie.

- Tak to zrobiłem - mówi łamiącym się głosem. - Też już znasz te książki, zgadza się?

- Tak - odpowiada Janie. Klęka przy stoliku i układa książki o snach, jedną obok drugiej.

- Ćwiczyłem - mówi Cabel. - I miałem nadzieję.

I śniłeś, dodaje w duchu Janie.

- Więc słucham.

Cabel siada obok niej z dwiema puszkami pepsi i z przeprosinami.

- Nie mam niczego mocniejszego - mówi. - No więc przeczytałem tę książkę o świadomych snach i nauczyłem się śnić o tym, o czym chcę.

Janie się uśmiecha.

- No. Ja też już to umiem.

- Świetnie - mówi rzeczowo Cabel. - A co z Kliniką Snu?

- Uff. Świetny pomysł, ale niezbyt fajny, jak się okazało. Poszłam tam. Wciągnęło mnie w sen, kiedy laborantka otworzyła drzwi do sali ze śpiącymi ludźmi. I wyszłam. - Urywa na chwilę. - To był sen pana Abernethy'ego. Jakoś nie mam ochoty wiedzieć, co się śni temu wiejskiemu ćwokowi.

Cabel dławi się pepsi.

- Bardzo słusznie. - Poważnieje na chwilę, nad czymś się zastanawia. Ale macha ręką, odpędzając tę myśl. - No, bardzo słusznie.

- He?



- Nic, nic. Dobrze, więc najpierw próbowałem śnić sobie mówiącego ci konkretne rzeczy. Ale nie mogłem zrobić tego jak trzeba. Za dużo... - Milknie, zerkając na nią z ukosa. - ...za dużo wychodziło z moich ust. Więcej, niż chciałem powiedzieć. Nie potrafiłem tego kontrolować. - Poprawia się na kanapie. - Więc myślałem, że mam przewalone. Ale potem wpadłem na pomysł, żeby pisać na kartce. Ćwiczyłem mnóstwo razy i przez ostatnich kilka nocy mi się udawało.

- Ale w tym śnie nie było mnie. Przynajmniej na początku.

- Tak. Bo kontrolowałem wszystko lepiej, jeśli byłem sam. Wiedziałem przecież, że jeśli zasnę w twojej obecności, i tak tam będziesz.

Janie zamyka oczy, wyobrażając sobie to wszystko.

- Sprytnie - mruży. Otwiera oczy. - Naprawdę sprytnie, Cabe.

- Więc odczytałaś to, co pisałem? - pyta Cabel. Trochę się czerwieni.

- Tak.

- Wszystko?

Janie patrzy badawczo na jego twarz.

- Tak.

- I?

Janie odpowiada po chwili milczenia:

- Nie wiem, co powiedzieć. Jestem naprawdę skołowana.

Cabel bierze ją za rękę i siada wygodniej na kanapie.

- Mam mnóstwo do wyjaśnienia. Wysłuchasz mnie?

Janie oddycha głęboko, powoli wypuszcza powietrze. Wszystkie powody, żeby go nienawidzić, wracają do niej niepowstrzymaną falą. Jej ostrożna natura daje o sobie znać. Nie ma ochoty na kolejną jazdę na tym emocjonalnym rollercoasterze.

- No cóż - mówi w końcu - nie wyobrażam sobie, że uwierzę choćby w jedno słowo. Okłamywałaś mnie od początku, Cabe. A właściwie jeszcze przed... hm... czymkolwiek. - Łamie jej się głos.

Odwraca wzrok.

Zabiera dłoń z jego dłoni.

Nagle wstaje.

- Łazienka? - piszczy.

- Cholera - mamrocze Cabel. - Przez kuchnię, pierwsze drzwi na prawo.

Janie znajduje łazienkę i przez chwilę szlocha bezgłośnie nad umywalką. W końcu wydmuchuje nos i siedzi na brzegu wanny, aż czuje, że znów jest opanowana. Zdaje sobie

sprawę, że już siedzi w tym rollercoasterze, i to w pierwszym wagoniku.

Kiedy wraca do salonu, Cabe kończy rozmawiać przez komórkę. Z łokciami na kolanach i głową opartą na rękach mówi stanowczo: „Jutro”. Rozłącza się.

- Posłuchaj - mówi, nie patrząc na nią. - Są sprawy, o których nie mogę ci powiedzieć. W każdym razie nie teraz. Może jeszcze przez jakiś czas. Ale odpowiem na każde pytanie, na jakie mogę odpowiedzieć w tej chwili. Jeśli nie będę mógł, a tobie się to nie spodoba, możesz mnie znienawidzić na zawsze. Nie będę ci więcej zwracał głowy.

Janie jest skołowana.

- Dobrze - mówi powoli. Postanawia zacząć od czegoś łatwego. - Z kim rozmawiałeś przed chwilą?

Cabel z jękiem zamyka oczy.

- Z Shay.

Janie stoi w drzwiach salonu i chwieje się. Łzy napływają jej do oczu. Ale kiedy się odzywa, jej głos jest śmiertelnie spokojny.

- Jezu Chryste, Cabe. - Odwraca się, łapie plecak i wychodzi stanowczym krokiem tą samą drogą, którą weszli do domu.

Wsiada do samochodu.

Nie może wyjechać.

Ma ochotę walnąć w tę jego fajansiarską brykę.

Ale to nie byłoby miłe dla Ethel.

- Do cholery jasnej! - wrzeszczy i opiera głowę o kierownicę. Nie może nawet przejechać przez trawnik, nie robiąc krzywdy Ethel, z powodu tego głupiego rowu melioracyjnego.

Nagle słyszy trzask drzwi wejściowych. Cabel biegnie, żeby przestawić swój samochód. Zapala go i ustawia na trawie obok Ethel, żeby Janie mogła wycofać.

A ona sama nie wie, na co czeka.

On podchodzi do okienka.

Ciągle jeszcze może odjechać.

On puka.

Janie waha się, ale w końcu uchyla szybę na parę centymetrów.

- Przepraszam cię, Janie - mówi.

Ryczy jak dziecko.

Cabel wraca do domu.

Janie siedzi na podjeździe, przemarznięta, przez trzydzieści sześć minut. Kłócąc się sama ze sobą.

Bo ona też myśli, że się w nim zakochała. I w tej chwili ma dwie możliwości, jak złamać sobie serce.

Wybiera tę trudniejszą.

I puka do drzwi.

Cabel otwiera. Znów gada przez telefon. Ma zaczerwienione oczy.

- Spróbuję - mówi i rozłącza się. I stoi. Wygląda jak kupka nieszczęścia.

- Spróbujmy jeszcze raz - mówi gniewnie Janie, trzymając się pod boki. - Z kim rozmawiałeś teraz, Cabe? - Jej słowa tną chłodne powietrze jak noże.

- Z kimś, dla kogo pracuję.

To ją na chwilę zbija z tropu.

- Mówisz o swoim dilerze? O swoim alfonsie? - Sarkazm w jej głosie odbija się echem po ciemnym domu.

Cabel zamyka oczy.

- Nie.

Janie stoi w drzwiach, niepewna.

Cabel otwiera oczy. Zdejmuje okulary i wyciera twarz rękawem. W jego głosie nie ma już nawet cienia nadziei.

- Czy jest jakaś szansa - mówi głucho - że przejedziesz się ze mną w jedno miejsce? Moja szefowa chciałaby z tobą porozmawiać.

Janie mruga.

- Dlaczego? - pyta zdenerwowana.

- Nie mogę ci powiedzieć. Musisz mi zaufać.

Janie robi krok do tyłu. Jego słowa brzmią znajomo. Ona kiedyś prosiła go o to samo.

Zastanawia się.

- Pojadę swoim samochodem - mówi cicho.

Godzina 16.45

Jedzie za nim do centrum Fieldridge. Cabel skręca na duży parking, obsługujący tylne wejścia biblioteki, poczty, komisariatu policji, baru U Franka, piekarni i kilka apartamentowców.

Parkuje na wolnym miejscu. Janie parkuje obok niego.

Cabel idzie w stronę rzędu budynków i własnym kluczem otwiera nieoznakowane drzwi.

Janie wchodzi za nim do środka.

Schodzą po schodach i nagle otwiera się przed nimi sala z tuzinem wydzielonych boksów biurowych i z oddzielnym gabinetem z zamkniętymi drzwiami.

Sześć osób spogląda na nich, gdy wchodzi.

- Cabe - kolejno kiwają głowami na powitanie. On wita się z nimi i delikatnie puka do drzwi gabinetu.

Na szybie drzwi widnieje czarny napis: „Kapitan Fran Komisky”.

Drzwi się otwierają. Jakaś kobieta zaprasza ich do środka. Jej twarz okalają brązowe, krótko obcięte włosy. Ma na sobie czarną zgrabną spódnicę, zakiet i śnieżnobiałą bluzkę.

- Siadajcie - mówi.

Siadają.

Ona też siada za biurkiem zasłanym papierami. Stoją na nim też trzy telefony i dwa komputery.

Pani kapitan przez chwilę przygląda się gościom. Opiera łokcie na biurku, złącza palce i przyciska je do ust. Wokół oczu ma delikatne zmarszczki, nie jest młoda.

Opuszcza rękę.

- Oto i pani Hannagan, jak sądzę? Jestem Fran Komisky, ale wszyscy zwracają się do mnie Kapitanie. Trochę śmiesznie to brzmi, ale tak się utarło. - Przechyliła się przez biurko i podaje Janie rękę. Janie zsuwa się na brzeg krzesła, żeby ją uścisnąć.

- Miło mi panią poznać, Kapitanie - odpowiada mechanicznie. Spogląda przy tym na Cabela, który gapi się na własne kolana.

- I wzajemnie - mówi Kapitan do Janie. - Cabe, wyglądasz koszmarnie. Więc jak, wyjaśnimy tę sprawę?

- Tak jest, sir - mówi Cabel.

Janie patrzy na niego zdziwiona, zastanawiając się, czy Cabel specjalnie ją tak nazwał. Ale pani kapitan najwyraźniej to nie przeszkadza.

- Janie - mówi Kapitan surowo. - Cabel mówi, że woli rzucić pracę, niż panią stracić. Muszę powiedzieć, że to niezwykle młody człowiek. Ale do rzeczy. Jako że takie postawienie sprawy bardzo mnie martwi, zaprosiłam panią tutaj, żeby przedyskutować z panią ten mały problem. A musi pani wiedzieć, że ja wolałabym stracić lewą nogę niż Cabela na tym etapie rozgrywki.

Janie przełyka ślinę. Zastanawia się, co tu jest właściwie grane, u diabła.

Kapitan patrzy na Cabela.

- Cabe mówi, że można pani powierzyć tajemnicę. Czy to prawda?

Janie patrzy na nią przestraszona.

- Tak jest, proszę pani... sir - bąka.

Kapitan się uśmiecha. Co odrobinę łagodzi napięcie.

- Więc dobrze. Jest pani tutaj, ponieważ nasz drogi Cabel panią okłamywał, do czego ja go zmusiałam, i boi się, że nie uwierzy pani już w ani jedno jego słowo. Pani Hannagan, czy mnie pani uwierzy?

Janie kiwa głową. Co innego może zrobić?

- Świetnie. Mam tu gdzieś listę rzeczy, które zamierzam pani powiedzieć, i zakładam, że jeśli będzie pani miała jeszcze pytania, Cabel na nie odpowie. A pani mu uwierzy.

To brzmi jak rozkaz.

Kapitan przerzuca stertę papierzysek i zakłada na nos wąskie okulary. Kiedy dzwoni telefon, automatycznie sięga do guzika, by go uciszyć.

- O, jest. Więc po pierwsze. - Spogląda na Cabela, a potem znów na kartkę. - Cabe nie jest w „związku” z Shay Wilder. - Podnosi wzrok, patrzy na Janie znad okularów. - Właściwie nie mogę tego udowodnić, pani Hannagan, ale widziałam, jak o mało nie rzygnął po ostatnim wieczorze, który z nią spędził. Czy to panią satysfakcjonuje?

Janie kiwa głową. Czuje się jak w czymś pokręconym śnie.

- Pytam, czy to panią satysfakcjonuje! - huczy Kapitan tubalnym głosem.

- Tak jest, sir - odpowiada Janie i prostuje się na krześle.

- Świetnie. Po drugie, w rzeczywistym życiu Cabe nie jest dilerem, handlarzem, pośrednikiem, użytkownikiem ani w żaden inny sposób nie ma nic wspólnego z narkotykami. Tylko tak udaje. - Kapitan robi pauzę, ale tym razem nie czeka na odpowiedź. - Po trzecie. - Odchyła się na krześle, odkłada kartkę na biurko i stuka się długopisem w zęby. - Jesteśmy tak blisko... - pokazuje kciukiem i palcem wskazującym, jak blisko - .. .zgarnięcia ważnego narkotykowego bossa w północnym Fieldridge, w dzielnicy Hill. Jeśli nalot nam się nie uda, bo pani piśnie komukolwiek, powtarzam, komukolwiek, choć słówko, pociągnę panią do osobistej odpowiedzialności, pani Hannagan. Poza Cabelem i dyrektorem Abernethym tylko pani o tym wie. Czy to jasne? Janie kiwa głową, wytrzeszczając oczy.

- Tak jest, sir.

- Świetnie. - Kapitan spogląda na Cabela. Jej twarz łagodnieje. Odrobinę.

- Cabelu, mój drogi chłopcze, jesteś ze mną, czy nie? Potrzebuję cię bardzo w tym

śledztwie. Albo wszystko pójdzie do diabła.

Cabel patrzy na Janie i czeka. Janie, przestraszona, widzi, że pozostawił jej tę decyzję. Kiwa głową. Cabel prostuje się na krześle, patrzy Kapitanowi w oczy.

- Tak jest, sir. Jestem z panią.

Kapitan kiwa głową i uśmiecha się z aprobatą do obojga.

- Doskonale. Więc wszystko załatwione?

Janie wierci się niespokojnie.

Nagle posyła Cabelowi znękane spojrzenie.

- Cholera - szepcze i wbija paznokcie w poręczę krzesła.

Godzina 17.14

Janie wpada do bankowego pomieszczenia z sejfami. Na podłodze siedzi związany czarnowłosej policjant. Szarpie więzy na nadgarstkach, próbuje wypluć knebel z ust...

Godzina 17.15

Znów siedzi na krześle w gabinecie, tyle że teraz słyszy za plecami kroki Cabela, który wraca na swoje miejsce. Drzwi są zamknięte. Cabel siada.

- Dzięki - szepcze Janie i odchrząkuje. - Nie spodziewałam się tego.

Kapitan wpatruje się w nią, mrużąc oczy. Spogląda na Cabela i znów na Janie. Chrząka. Głośno. Wyczekująco.

Janie blednie.

Cabel szeroko otwiera oczy.

- Czy pani potrzebuje pomocy medycznej, pani Hannagan? - pyta w końcu Kapitan.

- Nie, proszę pani. Nic mi nie jest, dziękuję.

- Cabel?

- Nic jej nie jest, sir.

Kapitan stuka długopisem o biurko, zastanawiając się. Mówi powoli:

- Czy chcielibyście mi powiedzieć jeszcze coś o tym, co się tu przed chwilą stało?

Cabel patrzy na Janie.

- Ty tu decydujesz - mówi cicho.

Janie się waha.

Patrzy Kapitanowi w oczy.

- Nie, sir - mówi. - Tyle tylko... że... jeden z pani funkcjonariuszy śpi przy biurku i ma paskudny sen. Wygląda na to, że był napad na bank i coś poszło nie tak. Siedzi związany w sejfie, sir.

Kapitan ma nieruchomą twarz. Teraz stuka się długopisem w usta i trzyma za niewłaściwy koniec. Niebieski tusz zostawia pod jej nosem cienki kropkowany wąsik.

- Który funkcjonariusz, Janie? - pyta Kapitan powoli.

- Ja... nie znam jego nazwiska. Krótkie czarne włosy. Tuż po czterdziestce. Przysadzisty. Miał związane nadgarstki i kostki, a w ustach knebel z białej szmaty. Przynajmniej tyle widziałam. Może coś się zmieniło.

- Rabinowicz - mówią chórem Kapitan i Cabel.

- Zechciałbyś sprawdzić dla mnie te fakty, Cabe?

- Sir, bez obrazy, ale nie muszę. Myślę, że pani sama wolałaby go wypytać.

Kapitan, zamyślona, przechyla lekko głowę. Odsuwa krzesło.

- Nigdzie się nie wybierajcie - mówi. Przed wyjściem stanowczo, twardo patrzy obojgu w oczy. Jej spojrzenie mówi: „Lepiej ze mną nie pogrywajcie”. Kiedy otwiera drzwi i wychodzi, Janie przytrzymuje się poręczy krzesła, wiedząc, co się teraz stanie.

- Nie zamykaj, Cabe - sapie, tracąc wzrok.

I znów jest w banku.

Kończy im się powietrze. Gliniarz szamocze się, usiłuje wyswobodzić. Próbuje wysunąć komórkę z kieszeni na pasie. Janie wie, że chce zadzwonić do żony. Próbuje przyciągnąć jego uwagę. Gdy on spogląda jej w oczy, Janie koncentruje się na jego źrenicach.

- Poproś mnie o pomoc. - Myśli tak intensywnie, jak tylko potrafi. Choć nie wie, jak on zdoła to zrobić ze szmatą wepchniętą do ust.

Słyszy stłumioną prośbę i zdaje sobie sprawę, że to wystarczy.

- Tak! Właśnie tak. - Wyjmuje mu knebel i orientuje się, że ostatnie słowa powiedziała na głos. Niezłe. - Słuchaj.

- Znów wbija wzrok w jego oczy. - To jest twój sen - mówi.

- Możesz go zmienić. Uwolnij się.

On patrzy na nią oczami oszalałymi ze strachu.

- Uwolnij się - zachęca go Janie.

Policjant szamocze się, głośno krzyczy.

Jego ręce i nogi rozrywają więzy.

Gliniarz łapie telefon i dzwoni pod 911. Zamyka oczy i jak za sprawą czarów po wewnętrznej stronie drzwi pojawia się zamek. W powietrzu materializuje się kawałek papieru z instrukcją, jak go otworzyć.

Policjant robi to natychmiast.

I wszystko tonie w czerni.

Godzina 17.19

Janie znów jest z Cabelem, który dotyka jej ramienia.

- Wszystko dobrze, Hannagan? - Wymyka się z gabinetu, wraca i podaje jej papierowy kubek z wodą. Janie pije chciwie.

Trzęsie się tylko trochę, bardziej od adrenaliny niż ze zmęczenia.

- Udało mi się. Pomogłam mu - mówi. - Jezu, to było niezłe! Pierwszy raz udało mi się w takim trudnym śnie. - Uśmiecha się radośnie.

Za to w uśmiechu Cabela widać znużenie.

- Będziesz musiała mi to później wytłumaczyć - mówi. - Jeśli jeszcze ze mną rozmawiasz.

- Och, Cabelu. Ja...

Kapitan wraca do gabinetu i zamyka drzwi.

- Pani Hannagan, proszę mi, z łaski swojej, powiedzieć, co pani widziała. Rabinowitz mówi, że nie ma nic przeciwko.

Janie mruga. Nie może uwierzyć, że Kapitan traktuje ją poważnie. Opowiada jej dokładnie, co widziała w banku.

Następuje długa.

Długa.

Pauza.

- A niech mnie - mówi w końcu Kapitan.



Rzuca okulary na biurko.

- Jak to zrobiłaś? Jesteś... Jesteś...

Waha się.

Mówi dalej, właściwie bardziej do siebie, głosem, w którym Janie coś wyczuwa. Być może nawet podziw.

- Jesteś jak druga Martha Stubin.

Godzina 18.40

Cabel i Janie pochłaniają hamburgery i frytki w barze U Franka, po sąsiedzku z komisariatem policji. Siedzą przy barze na czerwonych wysokich stołkach i obserwują, jak kucharze smażą hamburgery dwa metry od nich. To jedna z tych tradycyjnych knajpek, gdzie można wypić koktajl z mleka w proszku. Jedzą jak nawiedzeni, a w ich głowach kłębią się myśli.

Godzina 20.04

Znów są w domu Cabela. Cabel pokazuje Janie dwa pokoje, których jeszcze nie widziała. Swoją sypialnię i pokój komputerowy. Ma dwa komputery, trzy drukarki, CB i radio policyjne.

- Nieprawdopodobne - mówi Janie, rozglądając się. - Zaraz... czekaj no... mieszkasz tu sam?

- Teraz już tak.

- Jak...

- Mam dziewiętnaście lat. Do ostatniej klasy gimnazjum byłem o rok wyżej niż ty.

Może pamiętasz.

Janie pamięta, jak spadł do ich klasy.

- To było, zanim cię poznałam - stwierdza.

- Mój brat wpada od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy nie pakuję się w kłopoty. Mieszka z żoną parę kilometrów stąd. Wyprowadzili się, na całe szczęście, kiedy skończyłem dziewiętnaście lat.

- Na całe szczęście?

- To naprawdę mały dom. Cienkie ściany. Nowożeńcy.

- Uhm. A twoi rodzice?

Cabel rozsiada się na kanapie. Janie siada w fotelu obok.

- Moja mama mieszka na Florydzie. Gdzieś tam. Chyba. - Wzrusza ramionami. -

Wychowywał nas ojciec. Powiedzmy. Tak naprawdę to chyba wychowywał mnie brat.

Janie zwija się w kłębek i obserwuje go. On jest gdzieś daleko, więc czeka.

- Tata był w Wietnamie, już pod koniec wojny. To mu namieszało w głowie. - Cabel patrzy na Janie. - Kiedy mama odeszła, zrobił się paskudny. Krótko mówiąc, prał nas, ile wlezie... - Cabel wbija wzrok w stół. - Umarł. Kilka lat temu. Ale spoko. Kumasz? Zamknięty rozdział. Koniec. - Cabel wstaje z kanapy i się przeciąga.

Janie też wstaje.

- Zabierz mnie tam, za dom - prosi.

- Co?

- Pokaż mi. Tę szopę.

Cabel przygryza wargę.

- Dobrze... - Waha się. - Widzisz, ja... Nie byłem tam od dość dawna. To była... kiedyś... moja kryjówka.

Janie kiwa głową. Bierze kurtkę. Rzuca Cabelowi jego kurtkę. Wychodzą tylnymi drzwiami.

Idą po trawie chrupiącej od szronu.

Czują w powietrzu smak śniegu.

Kiedy są już blisko, Cabel zwalnia.

- Idź pierwsza - mówi. Zatrzymuje się na skraju małego uśpionego ogródka.

Janie patrzy na niego. Boi się.

- Dobra. - Wysoka trawa skrzypi pod jej nogami.

Janie wślizguje się w ciemność za szopą i znika z pola widzenia Cabela. Przystaje i patrzy na ścianę z desek, czekając, aż jej wzrok przywyknie do ciemności. Widzi miejsce, gdzie opierała się w snach, i staje tam.

Patrzy na lewo.

Czeka na potwora.

Ale teraz wie, że ten potwór umarł razem z ojcem Cabela.

Zakrada się do rogu, by spojrzeć na miejsce, z którego potwór wychodził.

I widzi to wszystko, jak na żywo.

Cabel wybiega z domu. Trzaska drzwiami.

Mężczyzna na schodkach wrzeszczy. Idzie za nim.

Cios pięścią w twarz Cabela.

Benzyna lejąca się na jego ubranie.

Ogień i wrzaski.

Przeobrażenie.

I potwór biegnący w jej stronę z nożami zamiast palców. Wyjący.

Janie, w ciemności, zaczyna panikować.

Nabiera powietrza.

Potrzebuje, rozpaczliwie potrzebuje usłyszeć, że to był tylko sen.

Cabel siedzi na schodku pod tylnymi drzwiami. Milczy. Janie podchodzi do niego. Bierze go za rękę. Prowadzi go do środka.

Dom jest ciemny. Janie na oślep szuka włącznika lampy. W jej świetle oboje rzucają cienie na dalszą ścianę. Janie zaciąga zasłony. Bierze swoją i jego kurtkę i wiesza je na krzesłach w kuchni. Cabel stoi nieruchomo, obserwując ją.

- Pokaż mi - prosi Janie. Jej głos lekko drży.

- Co mam ci pokazać? Zdaje się, że widziałaś już wszystko. - Próbuje odczytać jej myśli. Jego śmiech jest głuchy, nerwowy.

Janie unosi ręce i powoli rozpina mu koszulę. Cabel gwałtownie łapie powietrze. Na chwilę zamyka oczy. W końcu je otwiera.

- Janie - mówi.

Jego koszula leży na podłodze.

Janie podciąga mu podkoszulek. Tylko odrobinę. Obserwuje jego oczy. Widzi w nich błaganie.

Wsuwa palce pod materiał. Dotyka ciepłej skóry na jego bokach, w pasie. Czuje, jak jego płytki oddech przyspiesza. Przesuwa dłonie wyżej.

Wyczuwa blizny.

Cabel oddycha urywanie i odwraca głowę. Cień jego warg drży na ścianie. Poniżej podskakuje jabłko Adama.

- O Chryste - szepcze. Głos mu się łamie. On cały się trzęsie.

Janie ściąga mu koszulkę przez głowę.

Blizny od poparzeń są nierówne, przypominają skorupkę fistaszka. Są na jego brzuchu i piersi.

Janie dotyka ich.

Głaszcze.

Całuje.

A Cabel stoi. I płacze. Jego włosy unoszą się, naelektryzowane w suchym zimowym powietrzu. Jego rzęsy są jak podskakujące pająki w przyćmionym świetle. Nie może tego znieść.

Pochyla się do przodu.

Zwija się jak stonoga.

Chroniąc się.

Osuwa się na podłogę.

- Przestań - mówi. - Proszę cię. Przestań.

Janie przestaje. Podaje mu koszulkę.

Cabel wyciera nią twarz.

Wkłada.

- Chcesz, żebym sobie poszła? - pyta Janie.

Cabel kręci głową.

- Nie - mówi, trzęsąc się od szloch.

Janie siada obok niego na podłodze, opiera się o kanapę. Przyciąga go do siebie. On kładzie głowę na jej kolanach i zwija się na podłodze, a ona głaszcze go po włosach. Ścisną jej nogę jak pluszowego misia.

Godzina 23.13

Janie budzi go delikatnie, przeczesując palcami jego włosy. Idzie z nim do sypialni. Kładzie się obok niego na kilka minut. Jego okulary odkłada na nocną szafkę. Przytula go. Całuje w policzek.

I wraca do domu.

## WIELKA WSYPA

6 grudnia 2005, godzina 12.45

Janie czeka przy jego stoliku w czytelnicy.

Po chwili Cabel do niej dołącza.

- Dzisiaj wieczorem muszę pracować - szepcze Janie.

- A potem?

- Tak. Ale to będzie późno.

- Nie będę zamykał drzwi na klucz - mówi Cabel.

Janie idzie do swojego stolika.

I projektuje nowy sen, specjalnie dla siebie.

Godzina 18.48

Jakiś mężczyzna wpisuje się do książki gości w recepcji domu opieki. Rozgląda się, nie wiedząc, dokąd iść. Janie rozpoznaje go, choć teraz ma szpakowate włosy. Jest starszy. Ma więcej zmarszczek.

- Zaprowadzę pana - mówi Janie. Pokazuje mu drogę do pokoju pana McVickera.

Puka cicho do drzwi. Otwiera je.

Stary Johnny McVicker odwraca się do drzwi.

Widzi swojego syna.

Pierwszy raz od ponad dwudziestu lat.

Starszy pan powoli wstaje z fotela.

Chwyta chodzik.

Tacka z kolacją i łyżka spadają z brzękiem na podłogę, ale on tego nie zauważa.

Wpatruje się w syna.

Mówi o wiele za szybko:

- Myliłem się, Edwardzie. Ty miałeś rację. Przepraszam. Kocham cię, synu.

Edward się zatrzymuje.

Zdejmuje czapkę. Powoli drapie się w głowę.

Mnie czapkę w dłoniach.

Janie zamyka drzwi i wraca do recepcji.

Godzina 23.08

Parkuje samochód i biegnie w śniegu do domu Cabela.

- Zasuwałam jak dzika - mówi, kiedy jest już u niego. - Szkoda, że mnie nie widziałeś z basenami.

Czekał na nią. Teraz bierze ją w objęcia. Unosi w górę. Janie się śmieje.

- Możesz zostać? - pyta Cabel, a raczej błaga.

- Jeśli wrócę do domu rano - mówi Janie. - To znaczy przed szkołą.

- Jak chcesz. Tylko zostań.

Janie kończy odrabiać pracę domową, chowa zeszyt do plecaka i odnajduje go, śpiącego. Cabel nie ma na sobie piżamy. Oddycha głęboko. Janie wślizguje się do łóżka i w milczeniu przygląda się bliznom na jego brzuchu i piersi. Układa się wygodnie.

Przynajmniej na razie.

On wie, że może będzie musiała uciec.

Uciec od jego snów, żeby móc się wyspać.

Ale kiedy on zaczyna śnić sen o ogniu i spotyka się z nią za szopą, całuje ją i płacze, błagając o pomoc, ona, na oślepie, odrętwiała, odnajduje jego palce i zabiera go ze sobą, żeby mógł patrzeć na siebie razem z nią.

Pokazuje mu, jak zmienić sen.

To twój sen, przypomina mu.

Pokazuje mu, jak zmienić człowieka na schodkach - człowieka z benzyną do zapalniczek i z papierosem - w człowieka z pustymi rękami, z pochyloną głową. Który mówi „przepraszam”.

Kiedy budzą się oboje, wpadają promienie słońca.

Jest dwadzieścia jeden po jedenastej. Środa.

Krzyczą z radości i śmieją się, długo i głośno. Bo nie ma w pobliżu żadnego rodzica, którego by to obchodziło.

Zamiast iść do szkoły, rozsiadają się razem na wielkiej kanapie wypchanej styropianem, gadają i słuchają muzyki.

Grają w „Prawda czy wyzwanie”.

Ale zawsze wybierają prawdę.

Oboje.

Janie: Dlaczego tamtej pierwszej niedzieli po Stratfordzie umówiłeś się ze mną, a potem się nie zjawiłeś?

Cabel: Wiedziałem, że muszę iść na tę imprezę, ale zamierzałem urwać się wcześniej. Nie wiedziałem, że robimy tamtego wieczoru fałszywy nalot. Posłali mnie na noc do aresztu, żebym wyglądał bardziej wiarygodnie. Byłem załamany. Kapitan wypuściła mnie dopiero o szóstej rano. Wtedy zostawiłem liścik za wycieraczką Ethel.

Janie: Handlowałeś kiedyś narkotykami?

Cabel: Tak. Trawą, w ostatniej klasie gimnazjum i pierwszej ogólniaka. Miałem wtedy... hm, spore kłopoty ze sobą.

Janie: Dlaczego przestałeś?

Cabel: Wpadłem i Kapitan zaproponowała mi lepszy interes.

Janie: Więc od tamtej pory jesteś w brygadzie antynarkotykowej?

Cabel: Rany, co za terminologia. Większość tak zwanych agentów antynarkotykowych to młodzi gliniarze podstawieni do szkół, żeby łapać uczniów: Kapitan miała inny pomysł. Jej nie chodzi o uczniów, ona chce dorwać dostawcę, którym, tak się składa, jest ojciec Shay. Więc Kapitan pomyślała, że zadziała w ten sposób, bo on zaczyna sprzedawać kokę dzieciakom na przyjęciach. I twierdzi, że gdzieś ma kopalnię złota. Muszę go podpuścić, żeby powiedział to do mikrofonu.

Janie: Więc jesteś podwójnym agentem?

Cabel: Jasne. To jest bardziej seksowne.

Janie: W ogóle jesteś seksowny. Ale... Cabelu?

Cabel: Tak?

Janie: Naprawdę zaważyłeś ostatnią klasę gimnazjum?

Cabel: Nie. (pauza) Większą część tamtego roku spędziłem w szpitalu.

Janie: (cisza) I stąd te narkotyki?

Cabel: Tak... pomagały na ból. Potem wplątałem się w kilka... hm, nieciekawych sytuacji. Ale Kapitan pojawiła się w moim życiu we właściwym momencie, zanim zacząłem drugą klasę ogólniaka i zanim wkopałem się jeszcze bardziej. I może to zabrzmie dziwnie, ale wzięła mnie za twarz i stała się dla mnie kimś w rodzaju surowej matki, jakiej rozpaczliwie potrzebowałem. To była ta moja gotycka faza, kiedy uznałem, że przez te blizny nigdy nie zdobędę dziewczyny moich marzeń. Nie wspominając o fryzurze.

(pauza)

Ale potem ona walnęła mnie klamką w brzuch. A kiedy dziewczyna robi tak chłopakowi, to znaczy, że go lubi.

Janie: (śmieje się)

Cabel: Więc trochę mnie to podbudowało. Bo jej nie obchodziło, co sobie pomyślą ludzie, kiedy się do mnie odezwie. Zanim się zmieniłem.

(pauza)

Janie: (uśmiecha się) Dlaczego to zmieniłeś? Chodzi mi o styl.

Cabel: Rozkaz Kapitana. Ze względu na pracę. A tak przy okazji, ten wozik też nie jest mój. To element kamuflażu. Pewnie niedługo będę musiał go oddać.

(pauza)

Janie?

Janie: Tak?

Cabel: Co zrobisz po ogólniaku?



Janie: (wzdycha) Właściwie jeszcze nie bardzo wiem. Przez dwa lata zaoszczędziłam ledwo na jeden semestr uniwerku Michigan... Boże, to straszna kupa kasy... więc jeśli nie dostanę przyzwoitego stypendium, pójdę do miejskiego college'u.

Cabel: Więc zostajesz tutaj?

Janie: No, tak... Muszę być blisko, żeby mieć oko na mamę, rozumiesz. I... sędzę, że z moim małym „problemem” będę musiała mieszkać w domu. Inaczej nigdy się nie wyśpię.

Cabel: Janie?

Janie: Tak?

Cabel: Ja się tam wybieram. Na uniwersytet Michigan.

Janie: Nie gadaj.

Cabel: Na prawo kryminalne. Żeby móc zatrzymać robotę tutaj.

Janie: Skąd wiesz? Napisali ci już, że cię przyjęli? I jakim cudem cię na to stać?

Cabel: Hm, Janie?

Janie: Tak, Cabelu?

Cabel: Muszę ci się przyznać do jeszcze jednego kłamstwa.

Janie: O rany. Do jakiego?

Cabel: Tak naprawdę to wiem, jaką mam średnią.

Janie: I?

Cabel: I mam regularne stypendium naukowe.

Janie brutalnie spycha Cabela z poduchy. I skacze na niego. I mówi mu parę razy z rzędu, jaki z niego gnojek.

Sama słyszy od niego, że ona, z takimi stopniami, też z pewnością dostanie stypendium. Chyba że zacznie się zadawać z dilerami.

A potem jest trochę całowania.

10 grudnia 2005

Zmarnowany weekend. Cabel znów zaleca się do Shay, a Janie pracuje w domu opieki - w piątek wieczorem, a w sobotę i niedzielę na pierwszą zmianę.

Za to odwiedza ją Carrie. A Janie, bojąc się, że policja zrobi nalot w ten weekend, naprawdę nie chce, żeby Carrie była w to zamieszana. Pyta Carrie, czy nie chciałaby się z nią pouczyć do egzaminów. Carrie niechętnie zgadza się spędzić sobotni wieczór u Janie.

Carrie zjawia się koło szóstej wieczorem i już jest nawalona. Ale Janie i tak zmusza ją do wyciągnięcia książek i notatek.

- Chcesz iść do college'u czy nie? - pyta ostro.

- No tak - odpowiada Carrie. - Raczej. Chyba że Stu będzie chciał się ze mną ożenić.

- A chce?

- Tak myślę. Może. Kiedyś.

- A ty chcesz? - pyta Janie po chwili.

- Jasne, dlaczego nie? Byle wynieść się od starych.

- Twoi rodzice nie są chyba aż tacy źli. Nie sądzisz?

Carrie się krzywi.

- Szkoda, że nie znałaś ich przedtem.

- Przed czym?

- Przed tym, jak się tutaj przeprowadziliśmy.

Janie się waha. Zastanawia, czy to odpowiedni moment, żeby zapytać.

- Carrie...?

- Co?

- Kto to jest Carson?

Carrie wybałusza na nią oczy.

- Co ty powiedziałaś?

- Spytałam, kto to jest Carson.

Na twarzy Carrie widać panikę.

- Skąd wiesz o Carsonie?

- Nie wiem. Gdybym wiedziała, nie musiałabym pytać. - Janie stąpa po cienkim lodzie. Bardzo cienkim.

Carrie, wyraźnie poruszona, chodzi po kuchni.

- Ale skąd ci przyszło do głowy, żeby o niego pytać?

- Powiedziałaś kiedyś to imię - odpowiada ostrożnie Janie. - Przez sen. Po prostu jestem ciekawa.

Carrie nalewa sobie wódki do szklanki. Siada. I wybucha płaczem.

O cholera, myśli Janie.

Carrie wreszcie opowiada całą historię.

- Carson... miał cztery lata.

Janie ściska się żołądek.

- Utopił się. Byliśmy na kempingu nad jeziorem... to było... - Carrie urywa i wypija łyk wódki. - Był moim młodszym bratem. Ja miałam dziesięć lat. Pomagałam mamie i tacie rozbijać namiot.

Janie zamyka piekące oczy.

- O cholera, Carrie.

- Zapędził się nad jezioro... nie zauważyliśmy. I spadł z pomostu. Próbowaliśmy... próbowaliśmy... - Carrie chowa twarz w dłoniach. Bierze głęboki drżący oddech. - Przeprowadziliśmy się tutaj rok później. - Teraz mówi bardzo cicho. - Żeby zacząć od nowa. Nie rozmawiamy o nim.

Janie obejmuje Carrie i przytula ją. Nie wie, co powiedzieć.

- Tak mi przykro.

Carrie kiwa głową i szepcze załamana:

- Powinam była lepiej go pilnować.

- Och, Carrie... - Janie tuli ją przez chwilę, aż Carrie delikatnie się odsuwa.

- Już w porządku. - Pociąga nosem.

Janie, zupełnie bezradna, przynosi z łazienki rolkę papieru toaletowego.

- Nie mam żadnych chusteczek... Carrie? Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś?

Carrie wyłamuje palce. Czyści nos.

- Nie wiem, Janers. Myślałam, że to minie. Byłam taka zmęczona... taka zmęczona tym smutkiem. Nie mogłam już znieść tych milczących współczujących spojrzeń.

- A Stu wie?

Carrie kręci głową.

- Pewnie powinnam mu powiedzieć.

Milczą przez długą chwilę.

- Pewnie tak - wzdycha w końcu Janie. - To, co złe, nigdy samo nie mija. I to nie jest niczyja wina.

Carrie oddycha głęboko i powoli wypuszcza powietrze.

- Co tam. Jakoś to będzie, nie? - uśmiecha się przez łyżę. - Dzięki, Janers. Jesteś naprawdę dobrą przyjaciółką. - Milknie na chwilę i dodaje cicho: - Tylko zachowuj się teraz normalnie, dobra? Jedno smutne spojrzenie i nie ma mnie tu, przysięgam na Boga.

Janie uśmiecha się szeroko.

- Jasne. Mała.

11 grudnia 2005, godzina 2.41

Kiedy Carrie zaczyna śnić, tym razem Janie wie, co robić.

Las, rzeka, chłopiec. Tonący. Uśmiechnięty.

Carrie patrzy na Janie. Mają zaledwie parę minut, zanim zjawi się rekin. Carrie krzyczy:

- Pomóż mu! Ratuj go!

Janie koncentruje się, patrząc Carrie w oczy.

- Poproś mnie, Carrie. Poproś mnie.

Chłopiec podskakuje na wodzie, tonie, z tym niesamowitym uśmiechem na twarzy.

- Pomóż mu! - krzyczy znów Carrie.

- Carrie! - mówi Janie z całą mocą. - Nie mogę pomóc jemu. Poproś mnie. Poproś, żebym pomogła... tobie.

Rano Carrie wspomina przy śniadaniu:

- Miałam przedziwny sen. To był jeden z tych koszmarów o Carsonie, które ciągle mi

się śnią, ale tym razem się zmienił w takie dziwne... coś. To było nieprawdopodobne.

- Tak? - mamrocze Janie z pełnymi ustami. - Fajnie. Widocznie mam tu dobre feng shui, czy coś.

- Myślisz?

- Nie wiem. Spróbuj przemeblować swój pokój, a wieczorem powiedz sobie, że od tej pory chcesz, żeby twoje sny współgrały z nowym harmonijnym otoczeniem.

Carrie zerka na nią podejrzliwie.

- Chcesz mnie zdenerwować?

- Oczywiście, że nie.

12 grudnia 2005, godzina 17.16

Janie jedzie powoli do domu po długim dniu w domu opieki. Święta za pasem, więc pracownicy próbują między stałymi obowiązkami znaleźć czas na wieszanie świątecznych dekoracji. A Janie udało się pomóc trójce rezydentów w odnalezieniu odrobiny spokoju w snach. To był całkiem niezły dzień.

Po drodze zachciewa jej się przejechać pod domem Cabela. Dziwi się, widząc jego samochód na podjeździe. Zwalnia i parkuje obok, nie wyłączając silnika.

Biegnie do frontowych drzwi i puka wesoło.

Drzwi otwierają się i Cabel posyła jej znaczące spojrzenie.

- Cześć, Janie, co tam? - Daje jej znaki oczami, kiedy staje za nim Shay i wygląda przez jego ramię. Zaborczym gestem obejmuje go w pasie.

- Cześć, Janie - mówi Shay z triumfalną miną.

Janie uśmiecha się i kombinuje, jak z tego wybrnąć.

- O, cześć, Shay. Sorki, że przeszkadzam. Cabelu, masz może te notatki z matmy do jutrzejszego egzaminu, które miałeś mi pożyczyć?

W oczach Cabela błyska wdzięczność.

- Tak - mówi. - Zaraz wracam. Wejdziesz?

- Nie. Mam śnieg na butach.

Cabel zjawia się po chwili i wręcza jej plik papierzyśk zwiniętych i ściągniętych gumką.

- Zaraz idziemy na imprezę, ale będę potrzebował tych notatek jeszcze dzisiaj wieczorem. Egzamin jest rano. Do której mogę po nie wpaść?

Shay wystawia głowę znad jego ramienia - chce wszystko widzieć i zaznaczyć swoją

obecność. Janie zauważa, że Cabel prostuje się powoli na całą wysokość i Shay musi podskakiwać, żeby cokolwiek zobaczyć. Janie tłumi śmiech.

- Będę długo siedziała, ale mogę ci je włożyć do skrzynki na listy, kiedy będę się kładła. Dzięki, Cabelu. Bawcie się dobrze na imprezie. Ale wam zazdroszczę!

Janie wraca do Ethel i jedzie do domu, tylko odrobinę przygnębiona scenką, w której przed chwilą wzięła udział. Znosi notatki do domu, przebiera się i wyciąga książki.

Przegląda papiery, które dał jej Cabel. Ma nadzieję, że nie dał jej niczego ważnego, skoro tak naprawdę nie potrzebowała jego notatek. Między kartkami znajduje naskrobany pospiesznie liścik:

„Tęsknię jak wariat.

Buziaki, Cabe”.

Janie się uśmiecha. Ona też tęskni. Chciałaby, żeby ten kanał już się skończył. Myśli o tym, jak gotów był rzucić pracę, zaprzepaścić miesiące postępów w śledztwie, byle tylko się z nią pogodzić.

Kapitan ma rację. To porządny facet.

Janie uczy się do późna, mając nadzieję, że może Cabel przyjdzie. O pierwszej zaczyna przysypiać nad książkami. Daje sobie spokój i zbiera notatki Cabe'a, żeby włożyć je do skrzynki. Na wypadek gdyby po nie przyszedł. Na wypadek gdyby Shay była z nim i musiałby udawać.

Pisze liścik i wsuwa go między kartki, po czym zwija je i wkłada do skrzynki przy furtce.

Cieszy się, że rano może dłużej pospać, ale dwa razy sprawdza, czy nastawiła budzik. Pierwszy egzamin zaczyna się o wpół do jedenastej.

A ona musi zdać go celująco.

Żeby dostać stypendium.

Bo bez niego uniwersytet będzie tylko niespełnionym snem.

13 grudnia 2005, godzina 2.45

Kiedy dzwoni telefon, Janie zrywa się z łóżka. Przez chwilę myśli zdezorientowana, że to

budzik, ale po czwartym sygnale rzuca się do słuchawki.

Mając nadzieję, że to Cabel.

Mając nadzieję, że stoi pod drzwiami i że chce się z nią zobaczyć.

- Halo - chrypi zaspanym głosem.

Słyszy pociąganie nosem.

- Janie! - wyje ktoś.

- Kto mówi?

- Janie, to ja.

- Carrie? Co się stało? Gdzie ty jesteś?

- Cholera, Janie - jęczy Carrie. - Ale się wpakowałam.

- Gdzie jesteś? Potrzebujesz transportu? Carrie, weź się w garść, kobieto. Jesteś pijana?

- Starzy mnie zabijają.

Janie wzdycha.

Czeka.

Słucha szlochania.

- Carrie, gdzie jesteś?

- W areszcie - mówi w końcu Carrie i znów zaczyna szlochać.

- Co? Tutaj, w Fieldridge? Coś ty wykombinowała, do diabła?

- Możesz mnie stąd wyciągnąć?

Janie wzdycha.

- Ile, Carrie?

- Pięćset. Zwrócę ci. Co do centa. Z odsetkami. Obiecuję, jak babcię Kocham. -

Milknie na chwilę. - Aha, i Janie?

- Tak?

- Stu też tu jest. - Niemal da się wyczuć przez słuchawkę, jak Carrie kuli się ze wstydu.

Janie zamyka oczy i przeczesuje palcami włosy. Wzdycha jeszcze raz.

- Będę za pół godziny. Przestań beczeć.

Carrie dziękuje wylewnie. Janie ucina to, rozłączając się.

Ubiera się szybko i wyciąga pieniądze, które czekają schowane, by wpłacić je na konto z funduszem na przyszłe studia. Brakuje jej dwudziestu dolców.

- Cholera - mruczy. Wychodzi z pokoju i biegnie do swojej mamy.

- Czy to był telefon? - Mama ma zapuchnięte czerwone oczy.

- Tak... - Janie się waha. - Muszę jechać po Carrie. Siedzi w areszcie. Czy nie masz przypadkiem... nie masz czasem pożyczyc dwudziestu dolarów? Jutro ci oddam.

Mama patrzy na Janie.

- Oczywiście - mówi. Idzie do swojej sypialni i przynosi dwudziestkę. - Nie musisz mi oddawać, kotku.

Gdyby Janie miała wolną godzinę, żeby przemyśleć tę krótką rozmowę, mogłaby dojść do wniosku, że są na świecie dziwniejsze rzeczy niż wpadanie w cudze sny.

### Godzina 3.28

Janie wchodzi po schodach prowadzących do głównego wejścia komisariatu policji. Wiatr wypycha ją do środka. Śnieg pada jak głupi. Janie rozgląda się i widzi policjanta, który przywołuje ją gestem do bramki z wykrywaczem metalu. Rozpoznaje go. To Rabinowitz. Janie uśmiecha się, wiedząc, że on nie ma pojęcia, że się znają.

- Przez te drzwi. Wyłącznie gotówka i karty płatnicze. Żadnych czeków - mówi, jakby powtarzał to już milion razy.

Janie słyszy ich, zanim jeszcze otworzy drzwi. Przed nią stoi krótka kolejka zaspanych i zagniewanych rodziców. Niektórzy z nich zachowują się jeszcze bardziej irytująco niż Carrie, kiedy do niej dzwoniła. Zagląda za róg i widzi kratę celi aresztu.

Zastanawia się, czy to było to. Nalot brygady antynarkotykowej. Nagle widzi Melinę, eskortowaną przez gliniarza i ojca. Melinda wygląda okropnie, na twarzy ma smugi od łez i tuszu do rzęs. Jej ojciec łapie ją gniewnie za ramię i wyprowadza z komisariatu. Janie patrzy w podłogę, gdy Melinda ją mija. Trochę jej nawet współczuje.

Kolejne trzy osoby to też jej znajomi ze szkoły. Janie czuje ich upokorzenie. Po chwili już tylko ona stoi przy kontuarze dyżurki. Wyklada tysiąc dolarów w gotówce.

- Po kogo pani przysła? - burczy strażnik.

- Carrie Brandt i Stu, e... - Szuka w pamięci jego nazwiska. - Gardnera.

- Dowód tożsamości, proszę.

Janie wyjmuje prawo jazdy i wręcza strażnikowi, który uważnie je ogląda.

Po raz pierwszy zerka na nią.

- Nie masz osiemnastu lat.

Janie czuje, jak ściska jej się żołądek.

- Nie... dopiero za miesiąc - mówi.

- Przykro mi, mała. Trzeba być pełnoletnim.



- Ale... - Cholera.

Strażnik ją ignoruje. Janie stoi jak kołek. Myśli o tym wszystkim, co wie i o czym nie może powiedzieć. Wzdycha i siada na krześle, żeby się zastanowić. Opiera głowę na rękach. Czy może pogadać z Rabinowitzem i zapytać, czy za nią poręczy? Ale nie... Kapitan powiedziała: nikomu ani słowa. To obejmuje też innych gliniarzy.

- Czy mogę tam przynajmniej pójść, żeby wiedziała, że próbowałam? - prosi Janie.

Strażnik podnosi głowę.

- Ty ciągle tutaj? No dobrze, niech będzie - mówi. - Dwie minuty.

- Janie uśmiecha się z wdzięcznością i podchodzi do celi.

I widzi ich. Siedzących i leżących na pryczach.

Carrie i Stu. Przytuleni.

Shay Wilder i jej brat. Oboje na maksa wkurzeni, pijani, naćpani, zmęczeni - kto ich tam wie?

Pan Wilder. Z miną człowieka, który ma totalnie przechłapane.

I Cabe. Który wyleguje się na pryczy, jakby tu mieszkał. A Shay, jak z zadowoleniem zauważa Janie, trzyma się od niego tak daleko, jak się da.

Janie przygryza wargę.

Carrie biegnie do kraty.

Janie patrzy na nią.

- Kotku - szepcze - nie pozwalają mi. Dopiero w przyszłym miesiącu kończę osiemnaście lat. Ale pracuję nad tym. Obiecuję, że coś wymyślę, choćbym miała tu przywlec własną matkę.

Carrie zaczyna ryczeć.

- Och, to jakiś koszmar, siedzieć tutaj - jęczy.

Janie, której współczucie skończyło się jakąś minutę po tym, jak zadzwonił telefon, patrzy na nią ze złością.

- Jezu, Carrie, zamknij się już, co? Albo cię tu zostawię bez pomocy.

- Nie! - Do Carrie dołączają pijane głosy Shay, jej brata i Stu. Stu i Carrie zaczynają się kłócić.

Janie zerka na Cabela, który obserwuje ją z przebiegłym uśmieszkiem. Puszczą do niej oko, a potem ledwie dostrzegalnym ruchem głowy wskazuje pana Wildera.

Janie patrzy.

Wilder siedzi oparty o ścianę.

I zasypia.

Janie czuje przyływ adrenaliny.

- Hm, Carrie, muszę wrócić do poczekalni, ale wyciągnę cię, gdy tylko będę mogła. -  
Nie ryzykuje kolejnego spojrzenia na Cabela.

Siada na krześle jak najbliżej celi, poza zasięgiem wzroku policjanta w dyżurce. Sama ledwo widzi nogi Cabela na pryczy, skrzyżowane w kostkach. Przypomina sobie Jak wyglądał w dawnych czasach, kiedy jego džinsy były za krótkie, a on stał sam, brudny, na przystanku autobusowym niecałe dwa lata temu.

Słyszy, jak Carrie kłóci się ze Stu, a Shay i jej brat podnoszą głosy, mówiąc jej, żeby się wreszcie przymknęła...

I nagle Janie wpada w wir, ślepnie. Łapie się krzesła, mając nadzieję, że nikt nie będzie tędy przechodził. Nie widzi, jak Cabel wstaje, korzystając z zamieszania w celi, i podchodzi do samych krat, próbując podchwycić jej wzrok. Próbując jej coś powiedzieć.

Janie widzi tylko to, co lęgnie się w głowie pana Wildera, jego nadzieje i lęki. A może wspomnienia?

Sen nabiera intensywności i zmienia się w koszmar. Janie czuje się jak w pralce.

Potłuczona i rozbita.

I próbuje zobaczyć wszystko. Wszystko. Oczami i umysłem kryminalisty.

Podczas tego dwugodzinnego snu nie widzi Cabela, który chodzi niespokojnie, chowa twarz w dłoniach. Nie widzi jego przerażonego wzroku, gdy zupełnie bezwładna spada z krzesła, uderzając twarzą o kant wózka z kawą.

Godzina 6.01

Huczy jej w głowie.

Jest spocona. Zmarznięta.

Jej twarz, w kałuży krwi, ślizga się po zimnych kafelkach podłogi.

Wydaje jej się, że ma otwarte oczy, ale wzrok długo nie chce wrócić.

Nie może się ruszyć.

Gdzieś daleko słyszy Cabela wołającego jej imię, wołającego strażnika.

Carrie wrzeszczy.

Dla Janie wszystko jest czarne jak noc.

## Godzina 6.08

Janie czuje, jak ktoś kładzie ją na noszach. Skupia się. Próbuje się obudzić. Jej głowa pulsuje bólem.

Wywożą ją do holu komisariatu.

- Stójcie - chrypi.

Chrząka, by oczyścić gardło, i mówi jeszcze raz:

- Stójcie.

Dwóch ratowników medycznych patrzy na nią. Janie otwiera oczy A właściwie jedno, bo drugie nie działa. Ale widzi cienie.

- Nic mi nie jest - mówi i z wysiłkiem próbuje usiąść. - Mam takie ataki od czasu do czasu. Nic mi nie jest. Widzicie?

Wyciąga ręce, żeby im pokazać, że wszystko w porządku.

I widzi krew.

Otwiera szeroko oczy i wysila wzrok, by złapać ostrość.

Dotyka swojej twarzy. Krew kapie, płynie strumieniem z jej brwi, zalewa oczy.

- O, w mordę - mówi. - Nie macie paru plasterków? Serio.

Ratownicy patrzą po sobie i znów na nią.

Janie próbuje innej taktyki:

- Panowie, ja nie mam ubezpieczenia. Nie stać mnie na to. Proszę.

Jeden z ratowników mięknie.

- Masz na imię Janie, tak? Posłuchaj, leżałaś na podłodze, nieprzytomna. Sztywna. Bez kontaktu. Walnęłaś głową o kant zardzewiałego stalowego wózka.

Janie wykręca się jak może.

- Miałam w terminie zastrzyk przeciwężcowy. Zrozumcie, mam egzamin z matmy za... niedługo i zależą od niego moje studia. Mówię wam, że nie zgadzam się na opiekę medyczną. A teraz mnie puśćcie.

Ratownicy cofają się powoli, żeby mogła zejść z noszy. Janie opuszcza ciężkie zdrewniałe nogi na podłogę. W tej samej chwili przez bramkę z wykrywaczem metalu wpada Kapitan Komisky.

- Co tu się dzieje, do diabła? - pyta wesoło. - O, witam, pani Hannagan. Pani się

kładzie czy wstaje?

Janie rozgląda się, łapie kawałek gazy i próbuje zlokalizować źródło krwawienia.

- Sekundę, zaraz wykombinuję, jak z tego zleźć - mamrocze.

Robi głęboki wdech.

Zeskakuje z noszy.

Ląduje na ugiętych nogach jak chińskie gimnastyczki na olimpiadzie.

Kapitan obserwuje ją rozbawioną. Podaje Janie ramię.

- Chodź, moja droga - mówi. - Wygląda na to, że miałaś pracowitą noc. - Wygania stanowczym gestem ratowników, którzy znikają jak kamfora.

Janie uśmiecha się z wdzięcznością, przyciskając gazę do oka. Jej bluza jest poplamiona krwią. Czuje się, jakby miała buty z cementu i balon zamiast głowy.

- Zadzwoiłam tutaj po drodze i dowiedziałam się ciekawych rzeczy - mówi Kapitan po wyjściu ratowników. - I zastanawiam się, czy nie powinnyśmy sobie uciąć pogawędki w moim gabinecie?

- Ja... jasne. Hm, która godzina? - Janie zapomniała założyć zegarek, kiedy wychodziła z domu, a bez niego czuje się zagubiona.

- Szósta piętnaście albo coś koło tego - odpowiada Kapitan. - Wyobrażam sobie, że pan Strumheller ma już powyżej uszu tej celi, nie sądzi pani?

Janie ma kłopoty z koncentracją. Wie, że musi coś zjeść. Śmieje się słabo.

- To chyba zależy od pani, sir - mamrocze.

I nagle sobie przypomina.

Carrie i Stu.

- Kapitanie - mówi nerwowo. - Przyjechałam tu parę godzin temu, żeby wyciągnąć moją przyjaciółkę i jej chłopaka. Mam pieniądze na kaucję, ale dopiero w przyszłym miesiącu kończę osiemnaście lat. Czy nie mogłaby pani...

- Oczywiście.

Janie wzdycha z ulgą.

- Dziękuję.

- Zanim tam pójdziemy, przypominam, że pani mnie nie zna. Jasne?

- Tak jest, sir - odpowiada Janie.

- Grzeczna dziewczynka. Idź po swoich przyjaciół.

## Godzina 6.30

Carrie wybiega z aresztu, jakby cela była wypełniona trującym gazem. Stu zaraz za nią. Carrie widzi Janie całą we krwi i o mało nie mdleje, ale i Stu, i Janie ignorują jej teatralne zagrywki.

- Będziecie musieli wracać pieszo. Przykro mi - mówi Janie stanowczo. - Ja mam tu do wypełnienia jakieś durne papierki. Zgłoszenie wypadku czy coś, - Wskazuje swoje oko i robi minę, jakby to była ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę. Kręci głową, udając wściekłą. - Głupie gliny.

Stu ściska jej ramię.

- Dziękuję, Janie. - Patrzy na nią z wdzięcznością. - Jesteś dobrą przyjaciółką. Dla nas obojga.

Janie się uśmiecha. Carrie jest speszona.

- Dzięki, Janers.

- Dobrze, że do mnie zadzwoniłaś, Carrie - odpowiada Janie. A teraz już sobie idźcie, dodaje w myśli.

## Godzina 6.34

Janie, z zakrwawioną gazą przyciśniętą do błyskawicznie puchnącej brwi, idzie do łazienki. Spogląda w lustro. Rana jest na swój sposób piękna. Tuż poniżej brwi, od łuku do miejsca, gdzie brew zaczyna się zwężać. Prosta i czysta. Kiedyś Janie może pożałuje, że nie dała sobie założyć szwów. Ale jak na bliznę, ta będzie wyjątkowo seksowna.

Odwraca bluzę na lewą stronę, by ukryć nieprawdopodobną ilość krwi, która wypłynęła z dwucentymetrowego skaleczenia. Myje twarz i ręce. Bierze garść brązowych papierowych ręczników, moczy je i uciska ranę. Wreszcie pije wodę z kranu.

## Godzina 6.47

Gdy Janie wychodzi z łazienki, pod drzwiami czeka Cabel i wciąga ją do szatni. Wygląda na zmęczonego. I ucieszonego jej widokiem.

- Pokaż.

Janie odsuwa ręczniki i pokazuje ranę odniesioną w boju.

- Robi wrażenie - stwierdza Cabel, ale natychmiast poważnieje. W jego brązowych oczach widać troskę. - Kiedy zobaczyłem, że zaraz się przewrócisz... - Milknie i wzdycha. -

Obserwowałem cię. Prawie cały czas przez te dwie godziny, kiedy tylko mogłem, żeby nie wyglądało to podejrzanie. Dostawałem szału, że nie mogę się do ciebie dostać.

Janie, która teraz trzęsie się i czuje, że robi jej się słabo, opiera się o niego.

On głaszcze ją po plecach, opiera podbródek na jej głowie.

- Na pewno masz siłę na rozmowę z szefową? - pyta.

Janie kiwa głową opartą o jego pierś.

- Kupię ci coś do jedzenia, gdy tylko stąd wyjdziemy, dobrze?

Janie się uśmiecha.

- Dzięki, Cabe.

- Spotkajmy się przy tylnym wyjściu. Pamiętasz, które to drzwi? Musimy się rozdzielić.

- Tak, dobrze, racja - mruczy Janie. Cabel idzie nonszalancko do schodów i zbiega na dół. Janie wychodzi głównymi drzwiami i pokonuje w śnieżycy kilka przecznic, by dostać się na tyły sklepów i domów. Kiedy dociera do nieoznakowanym drzwi, jest zlane zimnym potem. Puka cicho. Drzwi otwierają się i Janie idzie za Cabelem na dół.

W sali wrze jak w ulu. Policjanci klepią Cabela po plecach i wicherzą mu włosy, chwając za dobrze wykonaną robotę.

- To jeszcze nie koniec - zauważa Cabel skromnie.

Puka do drzwi gabinetu. Kapitan woła:

- Proszę!

Cabel i Janie wchodzi do środka.

- Macie dzisiaj jakieś egzaminy, tak? Mamy teraz czas na tę rozmowę?

- Dopiero o dziesiątej trzydzieści, Kapitanie. Mamy mnóstwo czasu.

Kapitan uważniej przygląda się Janie.

- Jezus Maria, do wieczora będziesz miała niezłe limo. Straciłaś przytomność?

- Hm... - Janie wzrusza ramionami. - Tak naprawdę to nie wiem.

- Tak, wydaje mi się, że straciła - wtrąca się Cabel. - Będę musiał jej pilnować przez cały dzień. I pewnie całą noc - dodaje. Bardzo poważnym tonem.

Kapitan rzuca w niego gumką i posyła go po kawę.

- A przy okazji zdobądź jakiś prowiant dla tej biedaczki, zanim złamie się na pół. - Otwiera szufladę biurka i grzebie w niej. Wyjmuje zestaw pierwszej pomocy i torebkę fistaszków, jakie rozdają w samolotach. - Przysuń się tutaj, z łaski swojej - mówi. Janie objężdża na krześle biurko.

- Jezu - mamrocze znowu Kapitan, smarując ranę maścią z antybiotykiem. Otwiera

paczkę sterylnych wąskich plasterków i zręcznie, szybko zamyka ranę. - No, już lepiej - mówi. - Jeśli twoja mama i/lub tata będą mieli jakieś pytania, co ci się stało, niech do mnie zadzwonią. I byłabym wdzięczna za wcześniejszą informację, jeśli będą chcieli nas poznać. - Przesuwa w stronę Janie paczkę fistaszków. - Jedz.

- Tak jest, sir - mówi Janie z wdzięcznością, otwierając paczkę. - Nikt nie będzie do pani dzwonił.

Cabel wraca z trzema kawami, małym kubkiem mleka i torbą pełną babeczek i paczków. Jak gdyby nigdy nic stawia mleko i pełnoziarnistą babeczkę przed Janie, wlewa jej do kawy trzy śmietanki i wsypuje trzy tutki cukru.

Janie drżącą ręką bierze kubek i wypija mleko. Czuje, jak lodowata mleczna rozkosz spływa jej do żołądka.

- Wspaniale - wzdycha i robi głęboki wdech.

- No dobrze - mówi Kapitan. - Zdasz mi teraz raport, Cabelu?

- Tak jest. Przyszliśmy na imprezę o dziewiętnastej dziesiąt i marihuana była już w robocie, a do jedenastej dziesiąt koka została już podzielona na lusterku. Pięcioro nieletnich i kilkoro dorosłych zaczęło wciągać kreski. Pan Wilder wziął mnie na bok, żeby porozmawiać o naszej spółce. Był bardzo zadowolony z frekwencji. Był z grubsza przytomny, ale mocno naćpany, i powiedział mi, że ma składzik, który zamierza, cytuję, „puścić w obieg”. Widać Bakerowi i Cobbowi to wystarczyło, chociaż jestem wkurzony, że nie znamy miejsca ukrycia tego towaru. Zjawili się po trzech minutach i zrobili rozpiarduchę. Wzięli tylko tych, którzy byli na tyle głupi, żeby się awanturować. No, i oczywiście pana Wildera i dwójkę jego dzieci. Pani Wilder nie było. I naprawdę nie sądzę, żeby miała z tym coś wspólnego. - Spogląda z ukosa na Janie i wzrusza przepaszając ramionami. - Carrie była strasznie upalona i zrobiła dzikie piekło. Przykro mi.

Janie się uśmiecha.

- Może ta przygoda wbije jej do głowy trochę rozumu.

- O drugiej w nocy byliśmy już wszyscy w mojej ulubionej celi - ciągnie Cabel. - Janie przyszła, żeby wykupić Carrie i jej chłopaka, i pech chciał, że pan Wilder był tak nawalony, że zasnął. I Janie miała niezłą jazdę. - Rozsiada się na krześle, nie mając nic więcej do powiedzenia.

Kapitan kiwa głową.

- Dobra robota, Cabe, jak zawsze. - Zwraca się do Janie: - Janie, żeby było jasne: nie jesteś u nas zatrudniona i nie prosiliśmy cię, żebyś pomogła nam w tym śledztwie. Więc nie masz obowiązku wyjawiać nam, co się stało, zanim upiększyłaś sobie facjatę o nasz śliczny

cholerny wózek z kawą, który wywałę do śmietnika zaraz po tym spotkaniu. Ale jeśli chcesz i czujesz, że masz do dodania coś w związku ze sprawą, będę ci bardzo wdzięczna. - Pisce coś w notesie, chowa kartkę do kieszeni i mówi dalej; - Cabe jest niepokieszony, że nie znamy miejsca ukrycia towaru, a ja osobiście chciałabym to wiedzieć, żebyśmy mogli się starać o maksymalny wyrok. Jest jakaś szansa, że dowiedziałaś się czegoś na ten temat? - Patrzy Janie w oczy. - Zastanów się spokojnie, kochana.

Janie, której trochę rozjaśniło się już w głowie, odtwarza w myślach koszmar pana Wildera. W pewnej chwili zamyka oczy i kręci głową, zdezorientowana. W końcu podnosi wzrok.

- To może zabrzmiało głupio, ale czy Wilderowie mają jacht?

- Tak - potwierdza powoli Cabel. - W jakiejś przechowalni, zabezpieczony na zimę. A co?

Janie milczy przez długą chwilę. Nie do końca ufa swojej intuicji i boi się to powiedzieć, choć wie, że nie ma nic do stracenia.

- Pomarańczowe kamizelki ratunkowe? - mówi z wahaniem.

Kapitan pochyla się do przodu, zaintrygowana, a jej głos jest mniej szorstki niż zazwyczaj.

- Nie bój się mylić, Janie, Trop to trop. Większość z nich okazuje się fałszywa, ale bez nich żadne śledztwo nie zakończyłoby się sukcesem.

Janie kiwa głową.

- Oszczędzę pani całego tego snu bez końca, chyba że chce pani usłyszeć wszystko. Ale główna część, która wydała mi się istotna i w kółko się powtarzała, wyglądała tak:

Jesteśmy na jachcie, jest piękny słoneczny dzień na oceanie. W oddali widać coś, co wygląda jak prześliczna tropikalna wyspa, i pan Wilder steruje w jej kierunku. Pani Wilder opala się na dziobie. I nagle nadciągają chmury, zrywa się wiatr i nadchodzi sztorm. Uderza w jacht z całą siłą, jak huragan...

Janie przerywa, zamyka oczy i znów jest w środku snu. Jak w transie.

- Pan Wilder zaczyna panikować, bo kiedy tylko jacht zbliża się do brzegów wyspy, cofająca się fala spycha nas w morze. Jak na tym filmie, wiecie, gdzie Tom Hanks ląduje na wyspie jako rozbitek ze swoją ukochaną piłką do siatkówki.

Cabe się śmieje.

- To miało chyba tytuł *Cast Away: Poza światem*, Hannagan.

- No, niech ci będzie. Tymczasem pani Wilder wciąż siedzi na pokładzie, czyta książkę i nie widzi, że jest sztorm. Dziwne, wiem. On woła do niej, żeby weszła do kajuty i



wyciągnęła kamizelki ratunkowe, ale ona go nie słyszy. I nagle jacht zaczyna się obracać i uderza w rufę, i wszyscy wpadamy do wody. Jacht roztrzaskuje się, a wszystko, co było w kajucie, pływa dookoła, unoszone przez fale. Pani Wilder młóci rękami wodę i zaczyna tonąć, a pan Wilder pływa dookoła i zbiera rzeczy z wody. Widzi, jak jego żona się szamocze, więc łapie kamizelki ratunkowe, chyba z piętnaście ich pływa tu i tam, a on ma już nadziane na ręce osiem czy dziewięć. Zaczyna płynąć w stronę żony...

Janie zamyka oczy i przełyka ślinę.

- Myślałam, że chce ją uratować...

Cabel przygryza wargę.

Kapitan proponuje przerwę.

Janie macha na nich ręką, żeby nie wybili jej z transu, i mówi dalej:

- Zaczyna płynąć w jej stronę z tymi kamizelkami. Ale zamiast ją ratować, mówi... hm... mówi: „Możesz się spalić w piekle, ty zimna suko”. A potem przepływa obok niej, z tymi wszystkimi kamizelkami - Janie nabiera powietrza - jakby były najważniejszą rzeczą w jego życiu. A...

Milknie.

I podejmuje dziwnym głosem:

- A kamizelki nie unoszą się już na wodzie. Zanurzają się coraz głębiej. Toną. Ciągną go w dół. Pod wodę. A on nie puszcza.

Janie otwiera oczy i patrzy poważnie na Kapitana.

- Myślę, że towar, którego szukacie, może być zaszyty w tych kamizelkach, sir.

Kapitan wystukuje już numer na telefonie, żeby zdobyć nakaz przeszukania jachtu.

Cabel siedzi z otwartymi ustami.

Głowa Janie pulsuje bólem.

- Macie coś od bólu głowy? - szepcze.

Godzina 10.30

Janie i Cabel siadają do egzaminu z matematyki.

Godzina 10.55

Janie, spragniona jak rozbitek na morzu, ze słonymi łzami płynącymi po policzkach, zamyka pusty arkusz egzaminacyjny, wstaje, oddaje go i wychodzi z klasy. Wszystkie oczy gapią się

na nią, gdy idzie do drzwi. Cabel wpisuje jeszcze kilka odpowiedzi, czeka kilka minut i też oddaje swój arkusz. Najpierw szuka Janie na parkingu, ale widząc jej samochód, powoli ginący pod czapą śniegu, oddycha z ulgą, że nie próbowała jechać w tej śnieżycy. Wraca do szkoły i przeszukuje sale.

Znajduje ją w końcu, nieprzytomną, z głową na stoliku w pustej bibliotece.

Podnosi ją.

Zawozi na ostry dyżur.

Po drodze dzwoni do Kapitana. Mówi jej, co się dzieje. Sugeruje, że może to nie jest najlepszy moment, żeby Janie błąkała się po snach przypadkowych pacjentów szpitala.

Kiedy dojeżdżają do szpitala, zostają skierowani do izolatki. Cabel uśmiecha się szeroko.

- Kocham tę robotę - mruczy pod nosem.

Janie jest odwodniona. To wszystko.

Podłączają jej kroplówkę, a potem Cabel zabiera ją do swojego domu. Janie długo śpi. On też śpi - na kanapie.

Janie uważa, że to wszystko przez ten słony ocean.

## CHWAŁA I NADZIEJA

16 grudnia 2005, godzina 16.30

Cabel i Janie siedzą w gabinecie Kapitana.

Kapitan wchodzi.

Zamyka drzwi.

Siada za biurkiem i wypija łyk kawy Zakłada nogę na nogę. Odchyła się na krześle i patrzy na dwoje nastolatków.

- Mamy to - mówi. Uśmiecha się, a potem śmieje na cały głos Jakby wygrała na loterii.

I podsuwa Janie kopertę.

W kopercie:

umowa o pracę,

propozycja stypendium,

czek z wypłatą.

- Przeczytaj to. I powiedz, czy jesteś zainteresowana - prosi Kapitan.

Milknie na chwilę.

- Dobra robota, Janie.

25 grudnia 2005, godzina 23.19

Janie ściera ostatni okruszek lukru z tortu, robi obchód, żegnając się w duchu ze śpiącymi rezydentami, i z wdzięcznością ściska dyrektorkę. Bierze czerwony balonik z helem ze stolika z tortem, odwraca się i wychodzi stąd po raz ostatni, tym razem powoli. Idzie przez parking do Ethel.

Jedzie do domu i w śniegu biegnie do Cabela.

Otwiera drzwi.

Cicho wchodzi do środka.

On czeka na nią, we śnie.

Janie wślizguje się w czarny cień tuż przy nim. Całuje go w ramię. On bierze ją za rękę. Splata palce z jej palcami. Mocno ściska.

I wyruszają, połączeni uściskiem.

Patrzą na siebie samych, razem.

Gonią jego sny.

## PODZIĘKOWANIA

*Moim cudownym domowym dobrym duchom, za zagrzewanie mnie do boju, sprzątanie domu i redagowanie: Mattowi, Kilian, Kmned'emu - wymiatacie. Nie byłoby Janie bez waszej miłości, pomocy, cierpliwości i wsparcia.*

*Szczególnie dziękuję doktor Dianę Blake Harper, mojej drogiej przyjaciółce i specjalistce od czarnej roboty w Google'u, doktorowi Louisoivi Catronowi za serdeczną i bezcenną krytykę, Ramonowi Collinsowi za lata wsparcia, a na koniec Tricii, Chrisowi, Erice, Gregowi, Dawn, Joemu, Davidowi, Jen, Lisie, And'emu, Matthew, Lindzie, Andie i Ally za nieocenioną pomoc.*

*I wreszcie najszersze wyrazy wdzięczności dla mojego fantastycznego agenta, Michaela Bourreta, który wierzył w Janie i we mnie. Nie mogę też zapomnieć o genialnym zespole w Simon Pulse - Jennifer Klonsky, Caroline Abbey, Michaelu del Rosario i wszystkich innych, którzy pomogli mi urzeczywistnić mój sen.*